



Lennox Marion

Miloner dla Molly



Rozdział pierwszy

Że też Lionel musiał się zapodziać akurat teraz...

Sophia, jedna z najlepszych klientek Molly, wpadła wściekła do firmy, bo ekipa wysłana z agencji poskarżyła się na jej ukochane psy, Jackson Baird zamknął się w gabinecie z szefem, a na domiar złego...

- Gdzie jest Lionel? - spytała głośno Molly, wpatrując się z niedowierzaniem w puste pudełko. - Angelo, nie widziałas przypadkiem...?

- Niedawno pokazywałam go Guyowi - odparła Angela, przyjaciółka Molly, a jej twarz wyrażała to samo niedowierzanie, co mina Molly.

- Przysięgam, że go nie wyjmowałam. Guy wpadł na kawę i nie chciał wierzyć, że masz w biurku żywą żabę. Musiałam otworzyć pudełko.

- Ale zamknęłaś je potem, tak?

Angela w skupieniu próbowała przypomnieć sobie, co dokładnie zrobiła.

- Nie jestem pewna, bo właśnie w tym samym momencie przyszedł Jackson Baird.

Ładne rzeczy. Wystarczyło, żeby ten facet pojawił się gdziekolwiek, a większość kobiet zapomniała, jak się nazywa! Co on w sobie miał?

Och, jasne, był przystojny - wysoki, szczupły i pięknie opalony. A jego twarz... Choć po człowieku z taką pozycją można by się spodziewać arogancji, twarz Jacksona Bairda miała tak łagodny wyraz jak pysk małego labradora. Mina pod tytułem: zabierz-mnie-do-domu-i-kochaj, roześmiane oczy i wspinały uśmiech.

Zabierz-mnie-do-domu-i-kochaj? Molly czytała o Bairdzie w kobiecych pismach. Wiedziała, że jest jedną z najlepszych partii w Australii. Jego ojciec wzbogacił się na wydobyciu miedzi, a on odziedziczony

majątek jeszcze pomnożył. Niejedna kobieta marzyła, by zabrać go do domu i kochać.

Nic więc dziwnego, że kiedy przyszedł dziś do biura, wszyscy potracili głowy. Molly przekonała się o tym naocznie. Na widok Jacksona przechodzącego ze swoim prawnikiem umilkła nawet Sophia.

- Ależ to Jackson Baird we własnej osobie - szepnęła nabożnie ta najbardziej uciążliwa klientka. - Jeszcze nigdy dotąd go nie spotkałam. To wasz klient? - Starsza pani najwyraźniej była bardzo poruszona.

Gdyby został naszym klientem, agencja niewątpliwie wiele by zyskała, pomyślała Molly, zastanawiając się jednocześnie, o którą z oferowanych przez nich posiadłości chodzi panu Bairdowi. Mieli wprawdzie kilka ładnych domów nad zatoką, ale jej zdaniem żaden z nich nie był dostatecznie dobry dla człowieka tak bogatego jak Jackson Baird.

- To przez niego zapomniałam o żabie - przyznała Angela. - Chyba nie zaprzeczysz, że jest wspaniała.

- To prawda - zgodziła się Molly. - Ale gdzie podział się Lionel?

- Na pewno gdzieś tu skacze. - Angela uklękła na podłodze obok przyjaciółki, by pomóc jej w poszukiwaniach.

Obie kobiety dobiegały trzydziestki i były niezwykle atrakcyjne, ale na tym kończyło się podobieństwo między nimi. Angela uważała, że żyje się wyłącznie po to, by się dobrze bawić. Molly natomiast uznawała zupełnie inną hierarchię wartości.

- Gdzież on się podział? - spytała ponownie Molly. Wprawdzie agencja handlu nieruchomościami Trevora Far-

ra nie zajmowała zbyt wielkiej powierzchni, a jej właściciel, kuzyn Molly, wielokrotnie znajdował się na skraju bankructwa, jednak w większości pokojów akta piętrzyły się pod sam sufit i znalezienie wśród nich małej żabki graniczyło z cudem.

- Sam mnie zabije.
- Nie martw się, zaraz się znajdzie.
- Nie powinnam była brać go do pracy.
- Chyba nie miałaś wyboru. - Angela zajrzała ostrożnie pod dywan.

Rzeczywiście. Codziennie rano Molly jeździła pociągiem ze swoim ośmioletnim siostrzeńcem. Dziś okazało się, że Sam zabrał ze sobą żabę.

- Nie możesz wziąć Lionela do szkoły - Molly próbowała przekonać chłopca.

- Mogę. Tęskni za mną, gdy zostawiam go w domu. -Twarz Sama przybrała zacięty wyraz.

- Ale inne dzieci... - Molly westchnęła. Dobrze orientowała się w stosunkach panujących w szkole Sama i wiedziała o problemach, jakie chłopiec miał w kontaktach z rówieśnikami. Choć był mniejszy od większości z nich, nigdy nie unikał konfrontacji, co czasem kończyło się dla niego niezbyt pomyślnie. Niestety...

Ostatnio znów brał udział w bójce i wrócił do domu cały posiniaczony. Gdyby zabrał ze sobą ulubioną żabę, z pewnością znalazłyby się dzieci, które chciałyby mu ją odebrać.

- Jest za późno, żeby odwieźć ją z powrotem do domu - oznajmił, przybierając zaczepną minę, którą tak dobrze znała.

Molly naprawdę nie miała wyjścia. Dlatego zabrała żabę do pracy.

Nie mogła się spóźnić. Pracowała w agencji od niedawna, a w dodatku o dziesiątej umówiła się na spotkanie z Sophią. Przyszła więc z Lionelem pod pachą i teraz ponosiła tego konsekwencje.

- Sam nigdy mi tego nie wybaczy.

- Słucham? - znad biurka dobiegł głos Sophii. - Czy dobrze zrozumiałam, że szukacie żaby?

- To żaba Sama. - Molly omal się nie rozpląkała. Odgarnęła z czoła ciemne loki i podniosła wzrok na starszą panią.

- Proszę pomóc nam szukać.

- Kazesz mi czekać z powodu jakiejś żaby?! W dodatku prosisz mnie o pomoc...

Angela nie pozwoliła jej skończyć. Podniosła się z klęczek i oparła ręce na biodrach.

- Wie pani, kim jest Sam?

- Naturalnie, że nie. Skąd miałabym wiedzieć?

- A czy przypomina sobie pani ten tragiczny wypadek sprzed pół roku? Ciężarówka wjechała w samochód osobowy. Dorośli zginęli na miejscu, a mały chłopiec przez kilka godzin przebywał uwięziony w rozbitym aucie. -

Kobieta zrobiła wielkie oczy.

- To był Sam?

- Tak. Siostrzeniec Molly.

- Niemożliwe.

- A teraz zginęła nam jego żaba.

Na chwilę zapadła cisza, po czym cała trójka na nowo rozpoczęła poszukiwania.

Nieświadom toczącego się obok dramatu Trevor Farr z każdą chwilą stawał się coraz bardziej zaniepokojony.

Rano zadzwoniła do niego Hannah Copeland z wiadomością, która wprawiła go w euforię.

- Słyszałam, że Jackson Baird nosi się z zamiarem kupienia posiadłości na wybrzeżu. Niewielu osobom sprzedałabym Birraginbil, ale Jackson z pewnością jest jedną z nich. Możesz skontaktować się z nim

w moim imieniu i powiedzieć, że jeśli jest zainteresowany, nie będę się sprzeciwiała. Naturalnie, jeżeli chcesz pośredniczyć między nami?

Czy chciał? Gdyby doprowadził do zawarcia tej transakcji, byłby ustawiony do końca życia. Natychmiast zadzwonił do prawnika milionera i oto sam Jackson Baird, ubrany we włoski garnitur, siedział teraz w jego biurze.

Jedyny problem polegał na tym, że Trevor nie przygotował szczegółów. Starał się więc zyskać na czasie.

- Posiadłość znajduje się na samym wybrzeżu, trzysta sześćdziesiąt kilometrów na południe od Sydney. Dziś jest piątek. Weekend mam wprowadzić zajęty, ale chyba moglibyśmy pojechać tam w poniedziałek?

- Sądziłem, że przygotowuje pan przynajmniej zdjęcia - odezwał się Roger Francis, prawnik Jacksona, nie kryjąc niezadowolenia. Miał już upatrzoną, inną posiadłość, w Blue Mountain, ze sprzedaży której dostałby godziwy procent. Niestety, telefon od Trevora odebrała jego asystentka i natychmiast zadzwoniła do Jacksona. Co za idiotka! Wyrowadzony z równowagi prawnik korzystał teraz z okazji, by wyładować złość na właścicielu agencji. - Proszę zadzwonić do nas, gdy przygotowuje pan odpowiednie materiały. Gdybym wiedział, że ma pan tak mało informacji, nie fatygowalibyśmy się niepotrzebnie. Marnuje pan cenny czas pana Bairda.

Prawniki popatrzył na pluszowy dywan i przerwał swój nieprzyjemny wywód. W jego spojrzeniu pojawiło się najpierw niepomierne zdumienie, a następnie coś podobnego do wstępu.

Po dywanie skakała mała żaba. Prawnik uniósł nogę.

- Sądzisz, że mogła wskoczyć do biura Trevora? - Zdesperowana Molly popatrzyła na zamknięte drzwi. - Nie widzę innej możliwości.

- Rzeczywiście, może tam być. - Angela przykucnęła na piętach. -
Wszyscy patrzyli na Jacksona, więc...

- Idę sprawdzić.

- Uprzedzam, Baird wciąż tam siedzi. Trevor cię zabije.

- Może sobie przyjmować nawet angielską królową. Idę - oznajmiła Molly, zaglądając przez szybę w drzwiach do gabinetu szefa. To, co zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach.

W jednej sekundzie wpadła do środka i niczym zawodowa rugbistka rzuciła się na dywan, ratując Lionela od niechybnej śmierci. W ostatniej chwili wyciągnęła żabę spod buta, który brutalnie wbił się w dywan. Gdyby nie jej interwencja po zabie zostałyby tylko wspomnienie.

- Molly!

- Co, do diabła...?

- Masz ją?

- Chciał ją rozdeptać! Chciał rozdeptać żabę Sama. Co za brutal! -
Sophia Cincotta wpadła do gabinetu Trevora zaraz za Molly. Podniosła torebkę, jakby chciała zlinczować Rogera Francisa. - Morderca!

Tuż za nią wbiegła Angela. Molly leżała na dywanie, ściskając w rękach Lionela, jakby od tego zależało jej życie.

- Molly! Twoja ręka krwawi!

- Zmiażdżył jej palce! - Torba Sophii znów uniosła się niebezpiecznie, a prawnik pana Bairda przezornie schował się za biurkiem.

- Czy Lionelowi nic się nie stało? - spytała Angela.

~ Jak mogło mu się nic nie stać? - Oburzona Sophia omal nie zabiła wrokiem nieszczęsnego Francisa. - Ten brutal prawie go rozdeptał:

- Skąd wzięła się żaba w moim gabinecie? - Trevor nie krył zdumienia. - Molly, możesz mi to wytłumaczyć?

- Oczywiście - odparła, przyglądając się uważnie zwierzątku. - Ojej, coś jest nie tak z jego łapą.

- I z twoimi palcami. - Angela uklękła obok, posyłając mordercze spojrzenie Francisowi. - To przez niego.

Winowajca uznał, że w zaistniałej sytuacji atak będzie najlepszą obroną.

- Panie Baird, to powinno panu wystarczyć. Myślę, że gdzie indziej poszukamy posiadłości dla pana.

Na to Trevor nie mógł pozwolić. Oczami wyobraźni ujrzał, jak wymarzony zysk ulatnia się bezpowrotnie. Stał pomiędzy Molly a Jacksonem.

- Panie Baird, nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro. Takie rzeczy nigdy się u nas nie zdarzają. To profesjonalna agencja. - Popatrzył na Molly. - Zatrudniłem moją kuzynkę niedawno, na prośbę ojca. Jednak, jeśli zamierza ona obrażać moich najlepszych klientów... - Tu Trevor zrobił groźną minę.

- Molly, wstań. Odbierz tygodniową wypłatę i spakuj swoje rzeczy.

Ale Molly nie słuchała. Wpatrywała się w trzymaną w dłoniach żabę, zmartwiona stanem jej łapy. Czy można taką łapę nastawić?

Co powie Samowi?

- Molly, natychmiast stąd wyjdź! - Tym razem Trevor nie ukrywał wściekłości.

- Chcesz powiedzieć, że wyrzucasz mnie z pracy, choć moja żaba ma uszkodzoną łapę? - szepnęła.

- Sama widzisz, co narobiłaś.

- Słusznie, zasługuje na to, by ją wylać - syknął prawnik zza biurka, a w odpowiedzi na jego słowa torba Sophii ponownie powędrowała do góry.

- Chwileczkę. - Jackson Baird uniósł rękę. Choć mówił cicho, wszyscy zwrócili się w jego stronę. A on podszedł do Molly. Ukłękął obok niej, delikatnie odsuwając Angełę. - To drzewna żaba? - spytał cicho.

Dziewczyna otarta wierzchem dłoni łzę, spływającą jej po policzku i skinęła głową.

- I mój prawnik ją zranił?

- Nie lubię insektów - mruknął Roger.

- Żaba to nie insekt - zaczęła Molly, ale Jackson nie dał jej dokończyć.

- Wygląda na to, że w jednej chwili panna Farr straciła pracę, skaleczyła rękę, a jej ulubieniec został ranny.

Ostrożnie wyjął żabę z rąk Molly i wstał. Potężny mężczyzna, wypełniający swoją postać niemal cały pokój, i mała żaba zamknięta w jego dłoniach.

Delikatnie zbadał Lionela.

Trevor patrzył na płaza, nie kryjąc obrzydzenia. Nigdy nie przepadał za przedstawicielami australijskiej fauny.

- Niech pan mi ją da, panie Baird. Zaraz poszukam jakiejś cęgly.
Jackson nie odrywał oczu od żaby.

- To nic poważnego. Chyba damy sobie z tym radę. Molly zrobiła głęboki wdech. Poprawiła spódniczkę, która zsunęła się z jej ud i popatrzyła na Jacksona.

- Mówi pan poważnie?

On również spojrział na nią. Raz, drugi...

Wyglądała wspaniale. Miała jasną, niemal przezroczystą skórę, ciemne, kręcone włosy i ogromne brązowe oczy, które patrzyły na niego z nadzieją i niedowierzaniem.

Żaba! Skoncentruj się na żabie, upomniał się w duchu.

- Jak najbardziej.

- Świetnie - rzuciła z tyłu Angela. - Zrobimy jej małe kule, jak w „Bożonarodzeniowej opowieści Muppetów”.

- Cicho bądź, Angelo. - Molly podniosła się z podłogi i ponownie zwróciła się do Jacksona. - Potrafi pan nastawić tę łapę?

- Naturalnie. Trzeba będzie ją unieruchomić, wtedy na pewno się zagoi.

- A mówiłam, że będą potrzebne kule - roześmiała się Angela. Po chwili jej śmiech ucichł. - Pokaż mi rękę - zażądała stanowczo.

- To nic takiego. - Molly próbowała ukryć dłoń za plecami, ale Jackson był szybszy. Chwytał rękę dziewczyny i obejrzał ranę.

- Niech cię diabli, Roger.

- Chciałem nadepnąć na żabę. Nie sądziłem, że ta dziewczyna akurat...

- Trzeba to opatrzyć.

- Nic podobnego. - Molly wyrwała rękę i schowała za siebie. - To tylko zadrapanie. Grunt, że Lionel wyzdrowieje...

- Lionel?

- Moja żaba - wyjaśniła, a Jackson z całą powagą skinął głową.

- Rozumiem. Lionel. Oczywiście, że wyzdrowieje. Dziewczyna popatrzyła na żabę, jakby wietrzyła jakiś niecny podstęp.

- Skąd ta pewność?

- Kiedy byłem dzieckiem, na naszej posesji znajdowała się zapora wodna. W każde wakacje hodowałem kijanki i sporo wiem na temat żab.

- Łapa się zagoi?

- Tak.

Zrobiła głęboki wdech.

- W takim razie zabiorę ją do weterynarza.

- Mogę się tym zająć tutaj. Jednak nie potrafię opatrzyć twojej ręki.

- Zawiozę cię do szpitala - odezwała się Angela, obejmując Molly. - Pan zajmie się żabą, a ja moją przyjaciółką.

- Angelo! - Trevor przywołał ją do porządku, ale Angela posłała mu jedynie czarujący uśmiech.

- Pan Baird lubi Lionela - oznajmiła. - A przecież nie chcielibyśmy zdenerwować pana Bairda, prawda?

Na widok miny kuzyna Molly omal nie wybuchła gromkim śmiechem.

- Bardzo wam wszystkim dziękuję, ale jadę do weterynarza. Rękę zakleję plastrem. Dam sobie radę sama. W końcu teraz, kiedy wyrzuciłeś mnie z pracy, mam bardzo dużo wolnego czasu. - Popatrzyła na ku-

zyna. Może to dobrze, że ją zwolnił? Praca dla kogoś, kto jest idiotą, nikomu nie pochlebia.

- Nie może pani zostać zwolniona - oznajmił spokojnie Jackson i zwrócił się do Trevora: - Przyjechałem tu, aby dowiedzieć się czegoś o wystawionej na sprzedaż farmie. Propozycja jest interesująca, ale potrzebuję więcej danych. Chcę zobaczyć posiadłość. Powiedział pan, że weekend ma pan zajęty, tak?

- Rzeczywiście, ale...

- W poniedziałek zamierzam zapoznać się z inną ofertą, a we wtorek wyjeżdżam z kraju.

- Naturalnie. Zaraz przełożę moje spotkanie...

- Proszę nie robić sobie kłopotu - przerwał chłodnym głosem Jackson. - Wystarczy, że któryś z pana pracowników mnie oprowadzi.

- Lepiej od razu pojechać do Blue Mountain - wtrącił prawnik Jacksona, ale ten nawet nie zwrócił na niego uwagi.

- Ponieważ panna Farr doznała urazu, myślę, że należy się jej jakieś zadośćuczynienie. Wycieczka na wieś z pewnością doskonale jej zrobi. Mam nadzieję, że nie zamierzał pan naprawdę zwolnić pracownika z powodu małej żabki?

- Nie... - Trevor szybko przemyślał swoją decyzję, po czym zmienił zdanie. - Tak, ale...

- Panno Farr, byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zechciała pani oprowadzić mnie po posiadłości. Panie Farr, jeżeli pańska kuzynka doprowadzi do sfinalizowania tej transakcji, na pewno jej pan nie zwolni, mam rację?

Trevor westchnął. Nie był aż tak głupi, by upierać się przy swoim zdaniu.

- Raczej nie.

- Świetnie. Skoro posiadłość panny Copeland jest farmą, zapewne jest na niej wiele żab i innych niemiłych zwierząt. W tej sytuacji zwołuję mego prawnika od obowiązku uczestniczenia w naszej wyprawie. Panno Farr, czy zechce mi pani towarzyszyć?

Molly popatrzyła na Trevora, na Jacksona, na Francisa, a na koniec na żabę spoczywającą w dłoni Jacksona. Nie miała wyboru. Zależało jej na posadzie, jeśli zatem był to jedyny sposób, by jej nie stracić...

- Z przyjemnością - oznajmiła, sama nie wierząc w to, co robi. Jackson należał do ludzi, którzy dostają wszystko, na czym im zależy. Nie na darmo ogłoszono go biznesmenem roku. Ten człowiek miał w sobie niezwykłą siłę.

- W takim razie spotkamy się na lotnisku w Mascot jutro o dziewiętej.

- Lecimy samolotem?

- Wynajmę helikopter.

Naturalnie. W końcu miała do czynienia z prawdziwym milionerem.

- Czy dom jest przygotowany, by w nim przenocować?

- Na miejscu są ludzie, którzy się nim zajmują. - Trevor rozpaczliwie starał się kontrolować sytuację. - Pani Copeland powiedziała, że z przyjemnością będzie pana gościem, ale...

- W takim razie wszystko ustalone. Widzimy się jutro o dziewiętej. Mam nadzieję, że pani ręka nie będzie przeszkodą. Nadal martwi się pani o żabę? - spytał, widząc jej zachmurzoną minę.

- Tak.

- Żaby mają to do siebie, że czasem zdychają. Czyżby się z niej naśmiewał?

- Powiedział pan, że ją wyleczy.

- I zrobię to. Ale najpierw pojedzie pani do szpitala, żeby opatrzyć rękę.

- Najpierw Lionel - nie ustępowała Molly.

- Nie chciałbym, żeby posądziła mnie pani o brak serca, ale to tylko żaba.

- Niech pan coś zrobi z jego łapą, proszę - powiedziała słabo, bo tymczasem jej ręka spuchła i zaczynała porządnie boleć. Rzeczywiście, Lionel to tylko żaba, ale dla Sama znaczyła więcej niż cokolwiek na ziemi. Od czasu śmierci rodziców liczyła się tylko ona. - Proszę - powtórzyła, a Jackson popatrzył na nią uważnie. Nie rozumiał tej kobiety, ale chciał jej pomóc.

- Dobrze, panno Farr. Widzę, że ta żaba jest dla pani bardzo ważna.

- Dotknął lekko policzka dziewczyny. - Ale pani również jest ważna. Proszę pojechać do szpitala.

- Najpierw żaba.

- Najpierw ręka - powiedział nie znoszącym sprzeciwu głosem. - Lionel nie krwawi na dywan. Proszę ruszać do szpitala. Już!

Jakie to dziwne uczucie. Pozwolić, aby ktoś się nią zajął. Od czasu wypadku siostry to ona nieustannie się kimś opiekowała, a teraz nagle poczuła się tak, jakby ktoś zdjął z jej barków ogromny ciężar.

- Na szczęście rana nie jest głęboka - oznajmił Jackson, który, nie zważając na jej protesty, lustrował rozcięcie. - Szwy nie będą potrzebne. - Wysłał Angelę po środek antyseptyczny, jałowe gaziki i bandaże.

Molly siedziała, pozwalając, aby ten potężny mężczyzna klęczał przed nią i zadziwiająco delikatnymi palcami opatrywał jej rękę. Uczucie, jakiego doznawała, pozbawiło ją niemal reszty sił...

Zaczynała rozumieć, skąd wzięła się jego reputacja pogromcy niewieścich serc. Wystarczyło, że jej dotknął i...

- Gotowe. Okay? - Popatrzył na nią, uśmiechnął się, a jej serce zaczęło niebezpiecznie trzepotać w piersiach. Do diabła!

- Tak. Dziękuję. Teraz...

- Teraz twoja żaba. - Wciąż nie przestawał się uśmiechać, co dodatkowo wyprowadzało ją z równowagi.

Angela podała mu pudełko z Lionelem. Przez cały czas uważnie obserwowała Molly, którego zachowanie bardzo ją zastanowiło.

Jackson delikatnie wyjął Lionela, położył go na zdrowej ręce Molly i ostrożnie, nie spiesząc się, ustawił łapę we właściwej pozycji.

- Zupełnie, jakby wiedział, że pan mu pomaga - powiedziała przejęta Molly, a Jackson posłał jej zaciekawione spojrzenie.

- Rzeczywiście.

- Jak długo będzie musiał nosić ten opatrunek?

- Jakiś czas. Łapa na pewno się zagoi.

- Nie potrafię wyrazić swojej wdzięczności.

- Zawinił mój prawnik. - Jackson podniósł pudełko i przyjrzał się jego zawartości. Sam wymościł je trawą, żeby Lionelowi było wygodnie.

- Gotowe - powiedział, wkładając rekonwalescenta do środka.

- Świetnie.

- Czy chce pani, abyśmy odwieźli panią z panem Francisem do domu?

- Dziękuję, ale dam sobie radę sama. Zobaczymy się jutro o dziewiątej. Będę z przyzwóitką - dodała z uśmiechem.

- Bardzo mądrze, panno Fair. W takim razie do zobaczenia. Proszę uważać na rękę. I na ząbę.

Z tymi słowami wyszedł.

- Molly, mogę jechać? Proszę. Będziesz potrzebowała pomocy, na pewno ci się przydam. - Jackson nie zdążył jeszcze zamknąć za sobą drzwi, kiedy Angela zaczęła błagać przyjaciółkę, by pozwoliła sobie towarzyszyć. - Będę doskonałą przyzwóitką.

- Dziękuję, ale mam już kandydata. - Molly uśmiechnęła się szeroko.

- Ja z nią pojedę - odezwał się Trevor. - W końcu to moja agencja.

Rzeczywiście, agencja należała do Trevora, choć pod jego rządami firma zmierzała wprost do bankructwa. Ojciec Trevora namówił Molly, by spróbowała w niej pracy, a ona zgodziła się bez wahania.

Do tej pory zarabiała, sprzedając farmy na południu wybrzeża. Pośrednictwo w handlu nieruchomościami w mieście było dla niej nowym wyzwaniem, choć wkrótce okazało się, że jej kuzyn jest przysłowio-
wym kamieniem u szyi. Sam słaby

1 niezdecydowany, od razu zdyskredytował jej umiejętności.

- Mogę pracować samodzielnie - oznajmiła teraz. - Mam wrażenie, że pan Baird nie chce, abyście wy, ty czy pan Francis, angażowali się w tę transakcję. A skoro on ma takie życzenie... Na ile pani Copeland wyceniła posiadłość?

Trevor przelknął ślinę.

- Na trzy miliony.

Wysokość sumy zaskoczyła Molly.

- Kogo masz zamiar zabrać w charakterze przyzwoitki? -Trevor doskonale wiedział, że musiałyby się tłumaczyć przed ojcem, gdyby kuzynce coś się stało. - Wiesz, jaką ten człowiek ma reputację. Angela odpada.

- Wiem - odparła z uśmiechem Molly, puszczając oko do przyjaciółki.

- Więc?

- O, to będzie ktoś odpowiedni. Możesz się nie martwić.

- Dobrze. A co z ręką?

- To nic takiego. Idę się przygotować. Mam wrażenie, że pan Baird nie da się zbyć byle czym.

RS

Rozdział drugi

Na szczęście Lionel przeżył.

Sam wykazał stoicki spokój, co wcale nie zdziwiło Molly. Chłopiec zachowywał się tak od ponad pół roku, to znaczy od śmierci rodziców. Kiedy Molly spróbowała go objąć, odsunął się. Jak zwykle.

- Niepotrzebnie go sobie zostawiłem - powiedział z żalem.

Rzeczywiście. W ich osiedlu nie można było trzymać zwierząt. Zabę znaleźli na samym środku ruchliwej ulicy w Sydney. Chyba chciała popełnić samobójstwo. Kiedy Sam wziął ją do kieszeni, nie protestowała.

Teraz, patrząc na system sadzawek, które urządził na podłodze w łazience, chyba żałował swojej decyzji.

- Kiedy zdechnie, będę to musiał zlikwidować. - Wsunął ręce do kieszeni spodni i przyciągnął podbródek do piersi. Molly czuła, że zbiera jej się na płacz. W przeciwieństwie do niej, Sam nigdy nie płakał.

- Pan Baird powiedział, że Lionel nie zdechnie.

- Żaby i tak nie żyją zbyt długo.

To było takie niesprawiedliwe. Gdyby to od niej zależało, Molly uczyniłaby żaby nieśmiertelnymi.

- Chyba masz rację - przyznała i położyła rękę na ramieniu chłopca. Jak zwykle odsunął się. Zachowywał się tak, jakby po utracie rodziców bał się zaufać komukolwiek.

A dlaczego miałby jej ufać? Pod jej opieką nawet żaba nie była bezpieczna.

- Poproszono nas, abyśmy pojechali na weekend na pewną farmę. Zabierzemy ze sobą Lionela. To będzie wyjazd rekonwalescencyjny.

- Na farmę?
- Tak.
- Nie lubię farm.
- A byłeś kiedyś na jakiejś?
- Nie.
- W takim razie...
- Nie lubię i już. Nie chcę jechać.

Jasne. Lepiej położyć się na łóżku i gapić w sufit, jak robił zawsze, gdy tylko miał wolną chwilę.

- Sam, pan Baird zaprosił nas oboje.
- Wcale nie chce, żebym z tobą jechał.
- Jestem pewna, że chce.
- Ale ja nie chcę.
- Nie masz wyboru. Jedziemy oboje i będziemy cieszyć się z tej wycieczki, ile się da.

Weekend z Jacksonem Bairdem. Czyż mogła się nim nie cieszyć? .

Coś jej mówiło, że powinna, i to bardzo.

- Cara?
- Jackson! Jak miło cię słyszeć. -
- Chyba znalazłem posiadłość odpowiednią dla nas.
- Naprawdę?
- Tak. Wspaniałe położenie. Kiedyś była tam stadnina koni. Chciałabyś przylecieć i zobaczyć?

Chwila ciszy, po czym w słuchawce rozległy się słowa:

- Kochanie, jestem taka zajęta. Czy kiedykolwiek nie była?
- Chcesz powiedzieć, że mam się tym zająć sam? - spytał Jackson z uśmiechem.

- Właśnie.

- A jeśli kupię, a tobie się nie spodoba?

- Wtedy będziesz musiał kupić mi inną.

- Dobrze. Cara?

- Kochanie, naprawdę nie mogę przyjechać. Jest coś... Dzieje się coś, co pochłania całą moją uwagę. Ufam ci.

Znów się uśmiechnął. Tak, jego przyrodnia siostra i on zawsze mogli na siebie liczyć.

- Wiele osób by mi nie zaufało.

- Ale nie ja. Wiem, że jesteś wyjątkowy. Ty też o tym wiesz, prawda?

- Tak. I też cię kocham.

Kiedy skończyli rozmawiać, Jackson popatrzył w niemą słuchawkę.

Czy to naprawdę dobry pomysł?

- Poddaję się. Nie poprosisz mnie, tak?

- Słucham? - Molly zamrugła powiekami.

Była noc, a jej przyjaciółka stała na progu. W dodatku z wymyślną fryzurą na głowie, ubrana w lśniącą wieczorową sukienkę.

- Jadę na przyjęcie urodzinowe do znajomego. Kończy trzydzieści lat i postanowiliśmy to uczcić. Podoba ci się moja nowa kreacja?

- Wspaniała.

- Mogłabyś z nami pójść.

- Wiesz, że nie mogę.

No tak, w wypadku Molly życie towarzyskie nie wchodziło w grę.

Przed śmiercią Sarah, kiedy prowadziła na wybrzeżu agencję handlu nieruchomościami, odnosząc zresztą sukcesy, spotykała się z Micha-

elem, miejscowym prawnikiem, i wszyscy wróżyli im świetlaną przyszłość.

Ale w planach Michaela nie było miejsca dla Sama.

- Umieść go w szkole z internatem - zażądał.

Nie mogła tego zrobić. Nie chciała pozbawiać chłopca domu, w którym spędził całe życie. Teraz zastanawiała się, czy postąpiła słusznie.

W mieście trudno było znaleźć dobrą pracę. Szkoła Sama też jej się nie podobała, a na opłacenie lepszej nie było jej stac. A w dodatku chłopiec wcale nie ułatwiał jej życia. No i czuła się przy tym taka samotna!

Jednak pozostawienie siostrzeńca z opiekunką nie wchodziło w grę. Sam miewał w nocy koszmary, budził się, a wtedy musiała przy nim być. W końcu była jedyną bliską mu osobą.

- Rozchmurz się. - Angela uśmiechnęła się, patrząc uważnie na przyjaciółkę. - Spędzisz weekend z najlepszą partią w kraju.

Rzeczywiście, kusząca perspektywa, ale tak naprawdę Molly wcale nie chciała jechać.

Od śmierci siostry nie mogła się pozbierać. Świat ją przerażał i prawie nigdzie nie czuła się dobrze.

- Jak żaba? - spytała Angela.

- W porządku.

- Dzięki Jacksonowi.

- Ten człowiek ma paskudną reputację. Casanova przy nim to szczeniak.

- Powinnaś uważać się za szczęściarę - zażartowała Angela. - Mój Guy przy nim to nudziarz.

- Przynajmniej czujesz się bezpieczna.

- No tak... - Angela weszła do salonu i opadła na sofę. - Właśnie dlatego przyszedłam. Jeszcze raz pytam. Poprosisz mnie czy nie?

- O co?

- Żebym była waszą przyzwoitką.

- Nie.

- Chcesz zabrać ze sobą Sama?

- Tak.

- Cóż, wybaczę ci. Chyba wiesz, co robisz, bo ja w ciągu kilku chwil rzuciłabym faceta na kolana.

- Angelo, masz narzeczonego. Zapomniałaś?

- Rzeczywiście. A ponieważ jestem nobliwą kobietą...

- Daj spokój!

- Nie przerywaj mi. Przyszedłam, żeby zaoferować ci moje usługi opiekunki do dzieci. I do żab. Co ty na to?

- Bardzo nobliwe.

Molly była wykończona, bolała ją ręka, miała jeszcze mnóstwo papierkowej roboty, ale to, co proponowała przyjaciółka, było niemożliwe.

- Angelo, jestem ci bardzo wdzięczna, ale nie mogę zostawić Sama.

- Ze mną nic mu się nie stanie.

- Będzie spokojny i chłodny. Zawsze taki jest i łamie mi rym serce.

- Więc odpocznij chwilę od niego. Wiesz, że bardzo go lubię.

- Wiem. Ale walczę o jego miłość i nie mogę ryzykować. Chcę być z nim.

- Rozumiem. A co będziesz robić teraz?

- Idę spać. Boli mnie ręka i jestem bardzo zmęczona.

Ale to była tylko część prawdy. Molly musiała jeszcze zadzwonić do Hannah Copeland, aby dowiedzieć się jak najwięcej o posiadłości i

przygotować się na pytania klienta. Jeśli jednak przyznałaby się do tego przed Angelą, przyjaciółka rzuciłaby wszystko i została do pomocy.

- Może jednak poszłabyś z nami na przyjęcie?

- Mówiłam ci już, że nie chcę zostawiać Sama. Nie mam wyboru, Angie. Idź już i baw się dobrze.

- To niesprawiedliwe.

- Życie jest niesprawiedliwe.

- Na pewno nie zmienisz zdania i nie zostawisz ze mną Sama?

- Na pewno.

- W takim razie przyjadę do ciebie w niedzielę wieczorem. Zdasz mi dokładną relację. Godzina po godzinie.

- Chyba zmówiliście się z Trevorem. On też zażądał ode mnie szczegółowego sprawozdania.

- Nie wątpię. - Angela zawahała się. - Wiesz... - Wyraz jej twarzy zmienił się i Molly odgadła, co przyjaciółka zamierza powiedzieć.

- Angelo, przestań.

- Co?

- Próbować rozwiązywać problemy całego świata. - Molly popchnęła ją lekko w stronę drzwi. - Wracaj do swojego mężczyzny.

- Przynajmniej powiedz mi, w co zamierzasz się jutro ubrać.

- W nic nadzwyczajnego. Czarny kostium, biała bluzka. Służbowy mundurek.

Angela zatrzymała się w pół kroku.

- Nie możesz zrobić wyjątku dla Jacksona Bairda?

- Ubieram się dla siebie, nie dla ludzi.

- W takim razie masz jedyną okazję, by to zmienić.

- I zrobić się na bóstwo? Chyba nie.

- Boże, gdyby Jackson Baird zechciał tylko postawić buty pod moim łóżkiem... - Angie popatrzyła na przyjaciółkę. - Kiedy zobaczyłam was razem nad tą żabą...

Molly uśmiechnęła się.

- Bardzo romantyczne, prawda?

- Naprawdę. Tworzyliście piękną parę.

- Angelo, zastanów się, co mówisz.

- Dlaczego nie? On jest kawalerem, a ty panną. Jest bogaty, a to najlepsza recepta na udane małżeństwo, o jakiej słyszałam.

- Angie, idź już!

- Zgoda, jeśli mi obiecasz, że na pewno nie włożysz oficjalnego mundurka.

- To może dzinsy?

- Nie!

- A co proponujesz?

- Coś krótkiego i obcisłego. - Angella popatrzyła na swoją przylegającą do ciała sukienkę. - W tym stylu.

- Świetny pomysł. A do tego strusie pióra we włosy i już mogę oprowadzać Jacksona po farmie, w dodatku w towarzystwie ośmiolatka.

- Możesz poślubić milionera - szepnęła Angella. - Pomyśl o tym, dziecinko.

- Myślę, żeby iść spać - odparta Molly, wypychając przyjaciółkę za drzwi.

Jackson nie dowierzał, że Molly mówiła zupełnie serio o przyzwoitce. Podejrzewał, że przyjedzie sama. Kiedy zobaczył idącego obok niej chłopca, poczuł się bardzo zaskoczony.

A z drugiej strony na widok dziewczyny zaparło mu dech w piersiach.

Miała na sobie dzinsy i miękką białą koszulę zapiętą pod samą szyję, a burza czarnych włosów tańczyła wokół jej głowy. Wyglądała bardzo świeżo i ponętnie. Kiedy się do niego uśmiechnęła, po prostu odebrało mu mowę.

- Dzień dobry - powitała go, nie przestając się uśmiechać. Ujął wyciągniętą dłoń i z trudem wydobył z siebie głos:

- Dzień dobry.

Molly również przyglądała mu się z zainteresowaniem. Poprzedniego dnia w kosztownym garniturze prezentował się wspaniale, ale bardzo oficjalnie i nieprzystępnie. Dziś miał na sobie sportowe ubranie, w którym podobał jej się dużo bardziej. O wiele za bardzo...

Niełatwo jej będzie pamiętać o tym, że jest tylko klientem!

- Panie Baird, to mój siostrzeniec, Sam. Sam, to pan Baird. A więc nie syn, pomyślał Jackson. W takim razie, po co

go przyprowadziła? Wprawdzie nie umówił się z nią na randkę, tylko na spotkanie w interesach, mimo to był zaskoczony.

- Sam przywiózł ze sobą Lionela. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu. Uznaliśmy, że pobyt na farmie przyspieszy jego powrót do zdrowia.

- Słusznie. - Jackson wyciągnął rękę do chłopca. - Miło mi cię poznać.

Sam podniósł wzrok, ujął wyciągniętą dłoń i lekko przechylił głowę.

- To pan nadepnął na moją żabę?

- Mówiłam ci, że nie. - Molly delikatnie upomniała siostrzeńca. - Pan Baird opatrzył Lionelowi łapę.

- Molly mówi, że Lionel i tak wkrótce zdechnie.

- Nic takiego nie powiedziałam. - Molly westchnęła. -Zauważyłam tylko, że żaby nie żyją zbyt długo. - Popatrzyła z desperacją na Jacksona.

- Wiem, że zdechnie. - Sam mimowolnie przycisnął pudełko z płazem do piersi, jakby stworzonku zostało już tylko kilka dni życia. - Wszyscy umierają.

Jackson spojrział pytająco na Molly. Dziewczyna wzruszyła lekko ramionami.

- Rodzice Sama zginęli w wypadku samochodowym sześć miesięcy temu - oznajmiła. - Od tego czasu Sam patrzy na życie bardzo pesymistycznie.

Jackson skinął głową ze zrozumieniem.

- Przykro mi. Sam. Ja też w wieku ośmiu lat miałem żabę - przyznał się. - Mieszkała ze mną przez dwa lata, a potem uciekła, aby znaleźć partnera. Może Lionel zrobi to samo.

Sam popatrzył z niedowierzaniem. Zapadła cisza. Niech pilot uruchomi wreszcie silnik helikoptera, pomyślała Molly. Ta cisza była przytłaczająca. Jackson i Sam mierzyli się wzrokiem jak dwóch zawodników na ringu.

Nagle Jackson podjął jakąś decyzję. Kucnął przed naburmuszonym chłopcem.

- Sam, zdradzę ci coś jeszcze, co być może chciałbyś wiedzieć - powiedział, patrząc chłopcu prosto w oczy. - Kiedy miałem dziesięć lat, zmarła moja mama. Myślałem wtedy, że świat się kończy i, podobnie jak ty, oczekiwałem, że wszystko wokół umrze. Byłem śmiertelnie przerażony. Ale wiesz co? Nikt nie umarł do czasu, aż skończyłem dwadzieścia osiem lat. Wtedy byłem już prawie starcem.

Cisza. Sam myślał nad tym, co usłyszał. W końcu odezwał się cicho:

- Molly ma teraz dwadzieścia osiem lat.

Jackson spojrział na nią przelotnie, a na jego twarzy dostrzegła cień uśmiechu.

- No widzisz. Więc gdy miałem dwadzieścia ostem lat, zmarł mój dziadek, ale przez te osiemnaście nie straciłem nikogo.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Możliwe, że ty też będziesz miał tyle szczęścia.

- Chyba nie.

- A może tak. Sam zastanowij się.

- Mam tylko Molly i Lionela.

- Na moje oko oboje wyglądają całkiem zdrowo.

- Taak...

- Dobrze ich karmisz?

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy Sam trochę się rozluźnił. Nawet uśmiechnął się lekko.

- To głupie.

- Nieprawda. Dobre odżywianie jest bardzo ważne. Podobnie jak ćwiczenia fizyczne. Mam nadzieję, że nie pozwalasz Molly oglądać zbyt długo telewizji.

Sam uśmiechnął się szeroko.

- Ona ogląda same babskie filmy. O miłości i tych sprawach.

- To rzeczywiście bardzo niezdrowe. Zakazałbym jej tych bzdur. -

Jackson uśmiechnął się, ukazując równe, białe zęby, i Molly zrozumiała, dlaczego wszystkie kobiety w kraju kochają się w nim. W tej chwili sama miała ochotę go uściskać. Jackson podniósł się i wyciągnął rękę do Sama. - Chciałbyś polecieć moim helikopterem?

Chłopiec znów się zastanowił, po czym spokojnie podał Jacksonowi dłoń.

- Chętnie.

Molly uśmiechnęła się, a Jackson, który spojrział na nią przelotnie, pomyślał nagle, że ten weekend będzie naprawdę udany.

Nie oczekiwał od niej profesjonalizmu. Od chwili kiedy przekroczył próg biura Trevora Farra, nabrał przekonania, że jeżeli zechce dowiedzieć się czegoś o farmie należącej do Hannah Copeland, będzie musiał sam się potrudzić. Jednak Molly, ku jego zdziwieniu, doskonale przygotowała się do swojego zadania. Gdy tylko znaleźli się w powietrzu, wręczyła mu plany posiadłości, dokładny kosztorys, listę wydatków, spis pracowników...

- Widzę, że jest pani dobrze przygotowana.

- To rutynowe postępowanie.

- Jakoś w to nie wierzę.

Popatrzyła na niego z uśmiechem. Prawda była taka, że farma, którą chciała mu sprzedać, bardzo jej się podobała. Na przygotowywanie danych poświęciła całą noc, ale czuła, że klient niczym jej nie zaskoczy. Jak za dawnych czasów.

- Proszę zapoznać się z dokumentacją - przykazała. Jednak Jackson, cały czas świadomy obecności jej i Sama, jakoś nie potrafił się skupić.

To przecież spotkanie biznesowe, upominał się w duchu. Chłopiec i jego ciotka nie mają tu nic do rzeczy.

Pilot zatoczył koło nad posiadłością pani Copeland. Widok był zachwycający. Stosunkowo wąski od strony łądu pas ziemi rozszerzał się stopniowo, by sięgnąć w morze szerokim klinem.

- Cały cypel należy do farmy - poinformowała Molly, a Jackson w odpowiedzi podniósł do góry plany, z których zdążył się już zorientować, jak przebiegają granice posiadłości.

Jednak ani plany, ani fotografie nie były w stanie oddać piękna tego miejsca. Szafirowe morze otaczało szeroki cypel, a pasma wzgórz, na których pasło się bydło, osłaniały piaszczystą plażę od strony łądu.

Z lotu ptaka widać było spływające ze wzgórz strumienie. Tworzyły się na nich malownicze wodospady i maleńkie wyspy. Kiedy wylądowali, powitało ich stadko kangurów, a Jackson pomyślał, że znalazł się w raju.

Z trudem przypominał sobie, że decyzje ma podejmować rozumem, nie sercem. Chodziło przecież o przeszłość jego i Cary.

- Farma sprawia wrażenie... dobrze utrzymanej - powiedział ostrożnie i spostrzegł, że zarówno Molly, jak i Sam patrzą na niego, nie kryjąc zdziwienia.

- Widział pan wodospad? - spytał Sam. - Po prostu pierwsza klasa.

- Rzeczywiście - przyznał.

- Widzę, że zabierając Sama. ułatwiłam sobie pracę - zażartowała Molly. - Myślę zresztą, że pośrednik nie na wiele się tu przyda. Jeśli ma pan pieniądze, to miejsce samo się zareklamuje - dodała z filuternym uśmiechem.

- Nie wątpię - odparł Jackson sucho, choć w głębi duszy był pod wielkim wrażeniem.

- Nigdzie w Australii nie znajdzie pan podobnej posiadłości wystawionej na sprzedaż - ciągnęła Molly. - Nie wiem, po co potrzebna panu taka farma, ale niezależnie od tego, jakie ma być jej przeznaczenie, Birraginbil spełni wszystkie pokładane w niej nadzieje.

- Birraginbil?

- Tak się nazywa to miejsce.

Ależ jest pewna siebie, pomyślał Jackson. I nagle uzmysłowił sobie, że Molly najwyraźniej robi coś, co kocha. Uśmiechnął się do niej, podejmując grę.

- Proszę mi powiedzieć, co to znaczy.

- Miejsce pełne pijawek - zachichotała, widząc wyraz jego twarzy. - Tylko proszę mi nie mówić, że boi się pan tych małych krwiopijców! Niech pan popatrzy. - Wskazała ręką biały kanister, stojący obok niej. - Zachowaj czujność, tego uczyli nas w szkole handlowej. Mam też ze sobą sól, więc w razie klęski damy sobie radę.

Ta kobieta coraz bardziej go zaskakiwała.

- Naprawdę są tu pijawki? - Głos Sama nie brzmiał zbyt pewnie.

- Tak, ale tylko na podmokłych terenach. Obszar wokół plaży został osuszony i tam nic nam nie grozi. Można się bezpiecznie kąpać.

- A żaby? - spytał Jackson, a Molly uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Założę się, że jest ich tu pełno.

- Będziemy je mogli pokazać Lionelowi? - Sam od razu się ożywił.

- Jasne - zapewniła, przygarniając chłopca.

Jackson, ku swemu zdumieniu, poczuł ukłucie zazdrości. Zapytał o żaby, by wywołać uśmiech na twarzy Sama, ale teraz już wiedział, że zrobił to także dla Molly. Cóż za nietypowy sposób na przyciągnięcie uwagi kobiety! I to zrobił on, mężczyzna, który nigdy nie musiał się nadmiernie wysilać, by skupić na sobie zainteresowanie płci przeciwnej.

Ale Molly zależało wyłącznie na chłopcu. Oczywiście, rozumiał to. Mały jej potrzebował, on nie.

Dlaczego więc irytowało go to?

- Poprosimy zarządcę, żeby zabrał pana Bairda na wycieczkę krajoznawczą. My w tym czasie spróbujemy znaleźć miejsce, gdzie mieszka ją żaby.

Jackson odczuł lekką irytację. W końcu był jej klientem i do jej obowiązków należało oprowadzenie go po farmie. Oglądanie posiadłości z Molly...

RS

Rozdział trzeci

Pilot miał przylecieć po nich następnego dnia po południu. Helikopter wzniósł się w powietrze, a oni ujrzeli parę starszych ludzi, uśmiechających się serdecznie na widok gości.

- Rodzina - szepnęła kobieta, chwytając swego towarzysza za rękę. - A nie mówiłam ci, Gregor? Rodzina!

- Nie jesteśmy rodziną - Molly szybko wyprowadziła ich z błędu, a Jackson przez chwilę poczuł żal, że tak nie jest. Miło byio wyobrażać sobie przez chwilę, że przyleciał tu z żoną i dzieckiem.

- Panna Farr reprezentuje panią Copeland. Ja nazywam się Jackson Baird i jestem potencjalnym nabywcą. - Uśmiechnął się do Sama, który prawie ukrył się za Molly. - A to Sam, siostrzeniec Molly. Przywiózł ze sobą swojego ulubieńca, żabę.

- Rodzina czy nie, miło nam państwa powitać. - Kobieta nie straciła rezonu. - Nazywam się Doreen Gray i prowadzę ten dom. A to mój mąż, Gregor. Zapraszam państwa na herbatę.

Tak właśnie zaczął się ich wspólny weekend. Doreen i Gregor przyjęli ich jak rodzinę, którą chce się ugościć jak najlepiej.

- Chyba rzadko miewacie gości? - spytała Molly i po minie gospodyni zorientowała się, że trafiła w jej czuły punkt.

- Rzeczywiście. W dawnych czasach państwo Copeland przyjmowali tu wiele znamienitych osób. Mamy aż dziewiętnaście sypialni i zdarzało się, że wszystkie były zajęte. Ale panna Copeland nigdy nie była nadmiernie towarzyska. Wyprowadziła się do Sydney dziesięć lat temu i od tamtej pory żyjemy tu jak na zesłaniu.

- Zanedbała farmę? - spytał Jackson.

Doreen spojrzała na niego, nie kryjąc zgorzsenia.

- Ależ skąd! Panna Copeland nigdy by sobie na to nie pozwoliła. Hodujemy bydło. Mamy stado składające się z ponad tysiąca sztuk. Pracuje przy nim tuzin mężczyzn. Raz w miesiącu przyjeżdża z miasteczka dziewczyna, która sprząta dom od góry do dołu. W każdej chwili mógłby pan użyć każdej z dziewiętnastu sypialni.

- Jestem tego pewien. - Jackson rozejrzał się po przestronnej kuchni. Tak właśnie wyobrażał sobie kuchnię na farmie - duża, ciepła, przytulna, z ogromnym paleniskiem na środku, nad którym wisały wypucowane cynowe garnki.

Cara na pewno byłaby zadowolona.

Co za pomysł! Cara nie bywa w kuchni, ale reszta na pewno by się jej spodobała. Zbudowany z błękitno-szarego kamienia dom miał przestronną werandę, a w każdym pokoju znajdowało się ogromne okno. Świeżo wyprane zasłonki powiewały na wietrze. Całe obejście zachęcało wyglądem, by spędzać w nim czas.

Jackson zauważył, że Molly mu się przygląda. Zapewne chciała ocenić, jakie wrażenie zrobił na nim dom.

- Wspaniały, prawda? Wie pan, że jest pan pierwszą osobą, której go pokazuję?

- Wiem.

- Ale nie ostatnią - dodała sprytnie, dając mu do zrozumienia, że chętnych do kupna posiadłości jest więcej.

Uśmiechnął się, przyznając jej punkt, ale nie pozwalając, by go spieszała.

- Rozumiem, że mam prawo pierwokupu?

- Do poniedziałku bez wątpienia tak.

- Cóż za wspaniałomyślność.

- Staramy się zadowalać naszych klientów - odparła z promiennym uśmiechem.

Coraz bardziej mu się podobała. Była czarująca, inteligentna, zorganizowana, piękna...

Popatrzył na jej zabandażowaną rękę, szukając na serdecznym palcu obrączki. Nie znalazł i poczuł ulgę.

- Pan Jackson pragnie obejrzeć farmę. Zechce pan oprowadzić naszego gościa? - Molly zwróciła się do Gregora.

- Och, moja droga... - Twarz gospodarza posmutniała.

- Jakiś problem?

- Obawiam się, że moje nogi są za słabe na taką wycieczkę.

- Czy nie można czymś pojechać?

- Dżip jest w warsztacie. Gdybyśmy wcześniej wiedzieli, że przyjeżdżacie... Parma Copeland zadzwoniła do nas dopiero wczoraj wieczorem.

- Mamy tylko motocykl. No i są konie, ale na to Gregor na pewno nie da się namówić.

Rzeczywiście, gospodarze byli starszymi ludźmi i Molly nie mogła wymagać od nich, by tłukli się z nimi po jakichś wertepach.

- No to pojedę sam - wtrącił się Jackson. - Panna Farr... Molly sporządziła doskonałą mapę, więc mogę pojechać konno.

- Ale nie w pojedynkę - zaprotestowała Doreen. - Pełno tu dziur wykopanych przez króliki i innych pułapek. Koń to najlepszy środek lokomocji, jednak...

- Nie może pan jechać sam - przerwał jej mąż. Spojrzał na Molly. - A pani jeździ konno?

- Tak - odparła krótko, wprawiając Jacksona w zdumienie. Kolejna niespodzianka.

Sam przysunął się do ciotki i Molly wyczuła, że jest zaniepokojony perspektywą zostania z obcymi ludźmi.

- Ale Sam nie potrafi.

- Zajmiemy się nim - powiedziała Doreen. - Zamierzam upiec na kolację ciasto beżowe. Robiłeś je kiedyś?

- Nie, ale...

- Może chciałbyś się nauczyć? Będę potrzebowała pomocnika, który nabiera truskawek.

- Mamy też małego cielaczka - dodał Gregor, wspomagając żonę. - Trzeba go karmić butelką. Wyglądasz mi na chłopaka, który mógłby się do tego nadać.

- A później możemy pójść w takie miejsce, gdzie znajdziesz mnóstwo żab. Do krainy tysiąca stawów.

To przeważyło. Sam nieśmiało skinął głową i w jednej chwili atmosfera oczyściła się.

Molly wypuściła podświadomie przetrzymywane powietrze. Ci ludzie byli naprawdę uroczy.

- Rzeczywiście potrafisz jeździć konno, czy tylko siedzieć w siodle i trzymać lejce? - spytał podejrzliwie Jackson.

- Przekonaj się - odparła, zwracając się do Gregora. - Zgodnie z moimi informacjami macie tu całkiem niezłe rumaki.

- Trzeba z nimi uważać - ostrzegł ją gospodarz. - Już od dawna nikt ich nie dosiadał.

- Im ostrzejsze, tym lepsze. Nie mogę się doczekać. A więc wszystko zostało postanowione.

- Wyprawa zajmie wam prawie cały dzień - zauważyła Doreen - a pogoda jest wprost wymarzona na piknik, lepiej przygotuję wam coś do jedzenia.

Jackson patrzył, jak Molly pomaga siodłać konie, a kiedy dosiadła jednego z nich, wiedział już, że nie przechwalała się, mówiąc o swoich umiejętnościach jeździeckich. Wyglądała, jakby urodziła się w siodle. Gdy tylko wyjechali za ogrodzenie, odwróciła ku niemu roześmianą twarz.

- Uspokoją się, dopiero kiedy zaczniemy galopować. Ruszajmy - krzyknęła, po czym pomknęła z kopyta, ścigając się z wiatrem. Radość wprost z niej tryskała.

Patrzył na nią z przyjemnością. Minęło dobre dziesięć sekund, zanim się otrząsnął i ruszył jej śladem. Odjechała tak daleko, że musiała za-trzymać się, by do niej dołączyć.

- Co tak wolno?

- Sądziłem, że kobiety interesu pozwalają swoim klientom wygrać - zażartował, otrzymując w nagrodę gardłowy śmiech.

- Nie muszę się wysilać. Jeśli cała posiadłość jest równie wspaniała jak dom, nie mam tu nic do roboty.

Rzeczywiście, jemu również farma bardzo się podobała. Tyle tylko, że on oceniał nie tylko to!

- Całkiem nieźle dajesz sobie radę— pochwaliła go.

- Wielkie dzięki. Uznaję twój komplement za część służbowych obowiązków...

- Powiedziałam już, że nie załatwiam żadnych interesów. Posiadłość sprzedaje się sama. Nie muszę prawić ci komplementów.

Jackson czuł się coraz swobodniej. W obecności Molly zapominał o rygorach codziennego życia. Nie mógł jednak za przeczyć, że byty one jego wyborem. Tryb życia, praca, Cara

- sam tak zdecydował.

Ale chyba od czasu do czasu mógł sobie pozwolić na odrobinę zapomnienia.

- Gdzie nauczyłaś się tak jeździć? - spytał, w naturalny sposób przechodząc na ty.

- Na grzbiecie mlecznej krowy. Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Żartujesz?

- Nie. Moi rodzice prowadzili małe wiejskie biuro pośrednictwa handlu nieruchomościami. Zazdrościłam innym dzieciom, które mieszkaly na farmach i jeździły konno. Osiodlałam więc naszą krowę-żywicielek, Truskawkę.

- Nie mów mi, że jeździłaś na niej do szkoły?

- Nie. Tata zabraniał mi tej zabawy, bo przez to Truskawka dawała mniej mleka.

- Domyślam się - powiedział, nie kryjąc rozbawienia. Wyobraził sobie Molly na krowie i przez jego twarz przebiegł uśmiech.

- Obawiam się, że dojeżdżamy do podmokłych gruntów.

- Molly wyciągnęła rękę przed siebie. - Tam mogą być pijawki. Chcesz się zatrzymać i rozejrzeć? Ja zaczekam przy tym wzgórzu. - Wskazała najbliższe wzniesienie.

- Boisz się pijawek?

- Tak - odparła zdecydowanie. - Pomimo soli. Ale ty jedź odkrywać nie zdobyte dotąd łądy. W końcu z tego słyniesz.

- Naprawdę? - Zdumiony skonstatował, że Molly patrzy na niego z całkowitą powagą. W dodatku zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Zmieszał się pod wpływem tego wnikliwego spojrzenia.

- Mówią, że jesteś bezkompromisowy, zwłaszcza w interesach.

- Sama prowadzisz interesy.

- Rzeczywiście.

- Ale przestrzegasz pewnych reguł?

- A ty nie?

- I jedną z nich jest unikanie bliższych kontaktów z pijawkami? No, no...

- Jakbyś zgadł. - Roześmiała się i napięcie zelżało. - Mam rozumieć, że nie chcesz przeprować się przez te mokradła?

- Zobaczą wszystko ze wzgórza - odparł, wmawiając sobie, że zabrzmiało to z godnością.

Mokradła stanowiły najmniej atrakcyjną część posiadłości. Cała reszta była urzekająca. Pojechali nad morze, mijając po drodze stado dobrze wypaszonego bydła.

Wjechali na plażę. Jackson prowadził, a Molly trzymała się za nim. W pewnej chwili, wiedziony niewiadomym instynktem, spiął konia do galopu. Molly zrobiła to samo. Jechali obok siebie. Krople morskiej wody rozpryskiwały się na ich twarzach, a wiatr szumiał we włosach. Kiedy w końcu stanęli, roześmiana twarz Molly wyrażała szczęście.

- Było wspaniale.

- Na krowie nigdy byś tego nie dokonała.

- Miałam też koma. W końcu go dostałam.

- To co, u diabła, robisz w mieście?

- Pracuję.

- Jesteś stworzona do życia na wsi.
- Wielkie dzięki. Myślałam, że dobrze schowałam słomę do butów.
- My też mieliśmy farmę. W dzieciństwie spędzałem na niej każdą wolną chwilę. A nie po to mieszka się na farmie, aby później słuchać morałów jakiejś...

- Udawanej mieszczyki? - W oczach dziewczyny dostrzegł wyraźne iskielki rozbawienia. Naprawdę, ta kobieta miała w sobie coś, co sprawiało, że najchętniej ująłby jej twarz w dłonie i potem...

Hola, dokąd to by go zaprowadziło? Interesy, Baird. Robisz z nią tylko interesy.

- Udawanej mieszczyki - przyznał słabo, patrząc na jej zadumaną w tej chwili twarz. Czyżby odczuła to samo, co on? Czy gdyby spróbował ją pocałować, pozwoliłaby mu?

Do diabła. Tylko interesy!

- Z klifu będzie piękny widok na całą okolicę - powiedział, spinając konia. - Możemy zjeść tam lunch,

- A więc. MacDuff, w drogę! - wykrzyknęła ochoczo.

Ale napięcie nie zniknęło.

Jackson nigdy nie reagował tak na inne kobiety. Usiedli razem na rozłożonym przez Molly kocu i podziwiając okolicę, jedli przygotowane przez Doreen kanapki. Widoki naprawdę zapierały dech w piersiach. On jednak nie potrafił skupić się na podziwianiu cudów natury.

Dlaczego czuł się przy niej taki skępowany? Był przyzwyczajony do towarzystwa kobiet. Władza, pieniądze i ujmująca powierzchowność sprawiały, że otaczały go zawsze liczne rzesze wielbicielek. Jednak po ostatniej porażce...

A może krótki związek z Molly dobrze by mu zrobił? Nie była głupia. Na pewno doskonale zrozumie jego intencje i...
Stop!

RS

- Mamy tu wino - powiedział, podążając za jej wzrokiem. Molly patrzyła na rozciągające się poniżej pastwisko i ujście rzeki. Słońce tańczyło na jej twarzy, nadając oczom dziwny, niepokojący wyraz.

Jak by go opisać? Zupełnie jakby była głodna. Głodna życia.

- Nie potrzebuję wina - powiedziała, nawet na niego nie patrząc. - Niczego nie potrzebuję.

Intrygował go wyraz jej twarzy.

- Dlaczego pracujesz w mieście? Przecież widać, że kochasz wieś.

- Dom Sama jest w mieście.

- Przeprowadziłaś się po śmierci jego rodziców?

- A jak byś postąpił na moim miejscu?

Pytanie zaskoczyło go. Nie był pewien, co by zrobił w jej sytuacji. Do tej pory życie nie zmuszało go do takich poświęceń.

- Dzieci chyba łatwiej przystosowują się do zmian. Nie uważasz, że dla Sama byłoby lepiej, gdyby zamieszkał z tobą na wsi?

- Próbowałam - odparła krótko. - Nic z tego nie wyszło. - Czy powinna opowiedzieć mu o Michaelu? O nie! To jej bolesny sekret. Pokochała nieodpowiedniego mężczyznę i gdy to pojęła, bardzo cierpiała. Nie potrafiłaby dłużej żyć w tym samym miasteczku, co on.

- Nie chciałam, żeby zmieniał szkołę, więc się przeprowadziłam.

Tak po prostu.

- Ale *ety*...

- Zauważyłeś, jakie bujne są te pastwiska? - zmieniła te

mat. - Zdumiewające. I to bez nawozów. Gdybyś chciał za-inwestować w...

- Zrobię to.

Jej oczy zwięzły się.

- Chcesz powiedzieć, że kupisz posiadłość?

- Jeśli ją kupię, zainwestuję w nawozy.

- To byłby dobry interes.

Na chwilę zapadła cisza. Gdzieś w oddali zerwał się do lotu jakiś ptak, zakłócając szum fal miarowo uderzających o brzeg. Delikatny wiatr szeptał swą pieśń ponad ich głowami. To miejsce było magiczne...

- Na wolnym rynku sprzedalibyśmy ją w ciągu kilku dni.

- Niewielu ludzi ma odpowiednią sumę pieniędzy, by kupić tak dużą farmę.

- Znam co najmniej pięć osób - odparła Molly bez chwili zastanowienia. - Wymienić nazwiska? Jeśli zrezygnujesz, od razu do nich zadzwonię. Na razie jeszcze nie wiedzą, że posiadłość jest na sprzedaż, ale...

- Świetna z ciebie negocjatorka. - Uśmiechnął się.

- To moja praca.

- Sprzedawanie farm?

- Tak.

- Ale teraz sprzedajesz nieruchomości w mieście. - Jackson łatwo się nie poddawał. - Lubisz to?

- Naturalnie.

- No, nie wiem. Na pierwszy rzut oka widać, że kochasz wieś, więc...

- A ty? - Spróbowała zmienić temat. - Wychowałeś się na farmie.
Czy dlatego chcesz kupić wiejską posiadłość? Powrót do korzeni?

RS

- Można tak powiedzieć.
- Z tego, co słyszałam, większość czasu i tak spędzasz za granicą.
- Dotąd tak było.
- Więc chcesz się osiedlić. - Ten pomysł spodobał się Molly. W jej przekonaniu Jackson pasował do tego miejsca. Siedział oparty o skałę i patrzy! w morze. Sprawiał wrażenie wyciszonego. Jak ktoś, kto wrócił do domu.

- Może - odpowiedział wreszcie.

- Myślisz o założeniu rodziny? Jego twarz stężała.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. W końcu to nie jej sprawa. - Chyba dlatego, że jeśli mężczyzna zamierza się osiedlić...

- Myślisz, że pani Gray ucieszyłaby się, gdyby na farmie pojawiła się rodzina?

- Mam wrażenie, że bardzo. Moim zdaniem ona czuje się tu trochę osamotniona. Na pewno byś ją w ten sposób uszczęśliwił. Nie sądzisz?

- Zakładając rodzinę? Nic z tego. W każdym razie nie po to, by uszczęśliwić panią Gray. Może co jakiś czas będę pożyczał od ciebie Sama.

Zastanowiła się chwilę i skinęła głową.

- Myślę, że by to polubił.

- Więc mały nie jest szczęśliwy, chociaż przeniosłaś się do miasta?

Dlaczego wciąż wypytywał o jej sprawy? Nie powinna roztrząsać swego prywatnego życia z klientem. Zawsze przestrzegała zasady, by nie mieszać spraw osobistych z interesami. Ale tym razem... Tak bardzo

pragnęła porozmawiać z kimś na temat Sama. Tak bardzo się o mego martwiła, a Jackson sprawiał wrażenie autentycznie zainteresowanego.

- Nie - westchnęła. - Nie jest szczęśliwy. Wprawdzie jego rodzice zginęli zaledwie sześć miesięcy temu, ale... - Przygryzła wargę.

- Skąd ma na buzi te siniaki?

- Walczy z całym światem.

- To znaczy?

Ach, jak bardzo chciała zwierzyć się komuś ze swoich obaw. A Jackson wyglądał na silnego mężczyznę. Może przerzuci na jego ramiona część ciężaru, jaki ją przytłaczał?

- Sam jest najmniejszy w klasie, ale nie chce uchodzić za ostatniego. Zawsze pcha się na pierwszą linię. Bije się nawet z większymi od siebie, bez względu na konsekwencje. Często przychodzi do domu posiniaczony. Nie stać mnie na to, by zapisać go do lepszej szkoły.

Jackson przez chwilę milczał.

- Masz problemy finansowe?

- Siostra i jej mąż nie byli ubezpieczeni. Ponadto lubili korzystać z życia. Pozostawili po sobie sporo długów.

- Rozumiem. - I naprawdę tak było. Domyślał się, z jakimi problemami Molly musi sobie radzić. - To duża odpowiedzialność.

- Dość duża.

Znów zapadła cisza, ale tym razem inna. Beynieznośnego napięcia. Jakby każde z nich wiedziało, co drugie myśli.

Był... przyjacielem? W jego głosie usłyszała prawdziwą troskę i do oczu napłynęły jej łzy.

Jackson umiał ująć kobietę. Przystojny, silny, delikatny...

A przy tym był milionerem! No właśnie. I to czyniło ich przyjaźń niemożliwą do utrzymania. Tacy mężczyźni oznaczali wyłącznie problemy.

Przygryzła wargę i zabrała się za pakowanie rzeczy.

- Powinniśmy ruszać. Jest jeszcze sporo do obejrzenia.

- Tak - powiedział w zamyśleniu, nie spuszczając wzroku z jej twarzy.

- Pomóż rai - ponagliła go z lekką irytacją. - Nie przytroczę wszystkiego do mojego siodła.

- A nie jesteś moją służącą? - W jego głosie usłyszała autentyczne rozbawienie.

- Nie, panie Baird. Nie jestem pańską służącą - prychnęła, nie przerywając pakowania.

Mimo to nie pomógł jej. Stał nieruchomo, patrząc na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Wokół jego ust błąkał się lekki uśmiech.

Ależ ta dziewczyna ma charakter! - pomyślał.

Rozdział czwarty

Jechali w milczeniu ponad trzy godziny. Nie potrzebowali stów.

Posiadłość rzeczywiście reklamowała się sama. Jakby była małym, odizolowanym od reszty kraju rajem. Molly coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że trzy miliony za tak urokliwy zakątek to stanowczo zbyt niska cena.

Ale na taką właśnie sumę wyceniła posiadłość dotychczasowa właścicielka. Molly nie mogła tego zmienić. Jeśli jednak Jackson nie zdecyduje się na kupno, zadzwoni do panny Copeland i zaproponuje, aby podniosła cenę.

- O czym myślisz? - spytał nagle i Molly zdała sobie sprawę, że od pewnego czasu przyglądał się jej uważnie. Miała nadzieję, że z jej twarzy nie dało się wyczytać, o czym myślała. - Uważasz, że trzy miliony to za mało - powiedział nieoczekiwanie, a ona nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Rzeczywiście. Co powiesz, jeśli podniosę cenę?

- Poradzę ci, żebyś wzięła zimny prysznic.

- Przynajmniej jesteś szczery. Ale chyba możemy się trochę potargować?

- Domyślam się, że są jakieś dodatkowe koszty,

- Jeśli naprawdę jesteś zainteresowany, skontaktuję się dziś z panną Copeland i ustalę szczegółowe warunki sprzedaży.

- Obawiam się, że zechce, aby Doreen i Gregor mieszkali tu dożywotnio.

- To źle?

- Takie towarzystwo może okazać się na dłuższą metę nie do zniesienia.

- Wydaje mi się, że będą lojalni.

- Powinni stąd wyjechać.

- Chciałbyś być tym, który im to powie? - spytała, a jego odpowiedź stała się dla niej nagle bardzo ważna. Wiedziała, że miał reputację bezwzględnego biznesmena, ale poznała go też od innej, lepszej strony.

Nadal nie spuszczał wzroku z jej twarzy i zdawał się odczytywać jej myśli.

- Nie uważasz chyba, że skoro opatrzyłem łapę żabie, jestem mięczakiem.

- Dla Sama też byłeś miły.

- Fakt. Ale nie zapominaj, że to nie kosztowało mnie ani grosza.

- A gdyby tak było, czy postąpiłbyś inaczej?

- To zależy, ile musiałbym zapłacić. Jeśli cena przewyższałaby pół dolara, musiałbym skonsultować się z moim księgowym.

Molly roześmiała się i odwróciła twarz do słońca. Już dawno nie czuła się tak wspaniale. Chyba od śmierci Sary. Była wdzięczna Jacksonowi za ten cudowny dzień.

- Zatrzymasz Doreen i Gregora, prawda?

- Nie powiedziałem jeszcze, że kupuję tę farmę.

- Rzeczywiście.

- Mogę się jeszcze rozmyślić.

- Możesz - powiedziała. Wiedziała, że podjął już decyzję, ale nie chciała naciskać. Skierowała konia ku rzece. - Jeśli pojedziemy wzdłuż rzeki, dotrzemy do domu.

- Nie.

- Nie?

- Najpierw kąpiel. Woda wygląda wspaniale.
- Wygląda mokro.
- Nie bądź tchórzem!
- Nie wzięłam ze sobą kostiumu. Ponadto żaden szanujący się pośrednik handlu nieruchomościami nie ściąga majtek i stanika i nie wskazuje do kąpeli w towarzystwie klienta. To niedopuszczalne.
- Szkoda.
- Szkoda. Ale ty możesz się wykapać. Obiecuję, że nie zrobię ci po kryjomu zdjęcia.
- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że oprócz soli na pi-jawki wzięłaś ze sobą aparat.

Roześmiała się głośno, a w jej śmiechu było tyle radości i spontaniczności, że Jackson, słuchając go, znieruchomiał na moment w siodle. Z trudem zmusił się, by za nią ruszyć.

Co się z nim działo? Nie miał pojęcia, co myśleć o tym, co czuł.

W końcu jednak pływała. Nie miała wyjścia. Pierwsza dojechała do rzeki i kiedy na nią spojrzała, śmiech zamarł jej na ustach.

- Co się stało? - Podążył za jej spojrzeniem. - Och... W górnym biegu rzeki wpadło do wody kilka niewielkich

pni, na których spiętrzyły się gałęzie. Był to zapewne skutek obsunięcia się pobliskiej skały, podmytej przez wartki w tym miejscu prąd. Na tak utworzoną tratwę wskoczył mały kangur, nie zdając sobie sprawy, po jak niebezpiecznym gruncie stąpa. Dryfował bezradnie prosto do morza.

Wzdłuż brzegu biegła przerażona matka-kangurzyca, bezsilna wobec niebezpieczeństwa grożącego małemu. Podążając za dzieckiem, oddaliła się od reszty stada.

Jackson patrzył zdumiony, jak Molly zeskakuje z konia i zrzuca buty.

- Co zamierzasz zrobić?
- Popłynę do niego.
- Zniesie cię do morza.
- Zapomniałeś, że jestem dziewczyną ze wsi? Dam sobie radę.

Jackson także zeskoczył na ziemię i zagroził jej drogę.

- Nie bądź głupia. To tylko kangur. Nie pozwolę ci płynąć.
- Ciekawe, Lionel to tylko żaba, a pomogłeś mu. Mam pozwolić, żeby ten malec utonął?

- A jak zamierzasz go chwycić? Jest przerażony, może zrobić ci krzywdę. - Popatrzył na twarz dziewczyny, ale widząc jej wyraz, jęknął.

Może ona miała rację.

- Idę z tobą.
- Nie!
- Dlaczego? - Zdjął siodło ze swego konia. - Będziemy potrzebowali uprzęży, żeby go jakoś przytrzymać. Pomóż mi.

- Jak utoniesz, Trevor mnie zabije. „Milioner zginął, ratując małego kangura”. Już to widzę.

- Nie zamierzam się utopić. Popatrzeli na siebie przez chwilę.
- No dobrze, idziemy razem - zgodziła się Molly i nie czekając, wskoczyła do rzeki.

Jackson nie wszedł do wody od razu. Patrzył i oceniał sytuację.

Wydawało mu się, że Molly wie, co robi. Popłynęła w dół rzeki i teraz walczyła z prądem, by dotrzeć na środek, zanim dopłynie tam kangurek. Widział, jak miarowo tnę wodę i uznał, że jest bezpieczna. Przewiązał uprzęż wokół bioder, wszedł do wody i popłynął w stronę Molly.

Wprawdzie Molly dobrze sobie radziła w wodzie, ale Jackson był znacznie lepszym pływakiem. Po kilku minutach znalazł się obok niej.

Przeżalone kangurzątko wciąż dryfowało w ich stronę, becząc rozpaczliwie. Tymczasem jego tratwa zaczynała się rozlatywać i malec lada moment mógł wpaść do wody.

Chwycili się za ręce i czekali, unosząc się na powierzchni. Po dziesięciu sekundach kangur wpłynął prosto w mur, jaki utworzyli z rozpostartych ramion. Przeżalony, cofnął się i omal nie wpał do wody. Gdyby do niej wskoczył, nie daliby rady go wyciągnąć.

Zamknęli go w obręczy z ramion i upręży, stabilizując w ten sposób resztki tratwy, na której stał. Walczyli nie tylko ze zwierzęciem, ale również z silnym prądem, który znosił ich wprost na skały znajdujące się u ujścia rzeki.

~ Wracaj na brzeg - polecił Jackson. - Nie możesz tu zostać.

- Mogę.

- Dam sobie radę sam. Wracaj. - Próbował-wyrwać ręce z jej uścisku, ale nie puszczała.

- Pomogę ci.

- Molly, nie masz prawa się narażać. Nie zapominaj o Samie. Wychodź z wody.

- Płyn - poleciła krótko, spoglądając na przeżalonego kangurka, który najwyraźniej szykował się do skoku.

- Zajdę go od tyłu - powiedział Jackson. - Ty zostań. Zaczęła przemawiać do zwierzaka, aby skupić na sobie jego

uwagę. Wiedziała, co zamierza Jackson. Podpłynął do kangura od tyłu i zarzucił na niego koc, który miał na ramionach. Oszały ze stra-

chu malec zaczął się rzucać. Jackson zaklął, ale trzymał go mocno. Po chwili bezowocnych wysiłków zwierzę ztiieruchomiło.

- Nie dam rady z nim płynąć - powiedział cicho. - Możesz nas pchać?

Molly opłynęta ich od tyłu, jedną ręką objęła Jacksona w talii i wy-
tężając wszystkie siły, zaczęła powoli posuwać ich w stronę brzegu.

Później Jackson wielokrotnie zastanawiał się, jak im się udało wy-
ciągnąć kangura na brzeg. Sam z pewnością by tego nie dokonał. Molly
miała zadziwiająco dużo siły. Pomagał jej nogami i wspólnymi siłami
pokonali prąd, lądując na brzegu. I UŻ przed ujściem rzeki do morza, na
wysokości pierwszych skal, które zwieńczały ujście.

Jednak nawet na brzegu kangur nie był bezpieczny. Kiedy stanęli w
płytkiej wodzie, okazało się, że muszą się wspiać na wysoki, piaszczy-
sty klif.

- I co teraz? - spytał Jackson, przytrzymując zwierzątko, które ze
wszystkich sił próbowało wydostać się na wolność.

- Ty go ciągnij, a ja będę pchała - powiedziała.

- Żartujesz?

- Ani mi to w głowie.

- Mam lepszy pomysł.

Owinął ciasno zwierzaka kocem, podał go Molly ^wspiał się na klif.
Splótł dłonie, tworząc z nich jakby schodek.

- Wskakuj.

Popatrzyła na Jacksona, a potem na klif.

- Nie dam rady.

- Oczywiście, że dasz, maleńka - powiedział z przekonaniem. - Poza
tym, nie masz wyboru. Nic innego ci nie pozostaje, prawda?

W jakiś niepojęty sposób udało się. Molly znalazła się na górze, a wraz z nią mafy kangur. Wyciągnęła dłoń do Jacksona, by mógł ją wciągnąć.

Byli bezpieczni.

- Udało się - powiedziała, patrząc, jak Jackson rozpakowuje zawiniątko.

Rzeczywiście. Dali radę. Spojrzał na nią z uśmiechem. Była mokra, potargana i wykończona, ale nigdy nie widział kobiety piękniejszej od niej.

- Jest wspaniały - szepnęła, patrząc na wystraszonego kangurka, który wyłonił się z koca.

Dla Jacksona to ona była wspaniała.

- Rzeczywiście, ale głupi.

- Jak możesz tak mówić!

- Jestem pragmatykiem. Ktoś musi. Ty nie pomyślałaś o zabraniu koca i teraz na pewno wykrwawiałabyś się na śmierć.

Zdołała się lekko uśmiechnąć.

- W takim razie ciesz się moim pragmatyzm. Och, Jackson, on chyba ma zamiar skoczyć.

- Mhm.

- Wszystko w porządku? - Spojrzała na niego badawczo, trochę podejrzliwie.

Nagle poczuł się tak dobrze jak chyba nigdy dotąd. Stoczyli walkę, wygrali ją, a teraz odpoczywali. W oczach Molly również dostrzegł zadowolenie i triumf.

- Dobrze się spisaliśmy - powiedział.

- Jackson...

Nie musiała mówić nic więcej. Usłyszał w jej głosie ostrzeżenie i lekko się odwrócił. Mama kangurzyca gotowała się właśnie do szarży. Zobaczyła już swoje dziecko i zamierzała je odzyskać.

- Wypchnij go do niej - poradziła Molly. - Te kangury potrafią być niebezpieczne, zwłaszcza gdy walczą o potomstwo. Szybko!

- Spróbuję. - Jackson chwycił koc za brzeg i uniósł go. Kangurek potrząsnął łebkiem, wyprostował nogi i dał długiego susa w kierunku matki.

Kangurzyca obwąchała go dokładnie, po czym wpuściła go do torby. Mały był bezpieczny. Nie oglądając się ani razu, kangurzyca oddaliła się czym prędzej od dwóch nieznanymi istot.

- I to ma być wdzięczność - zażartował Jackson.

- To ja jestem wdzięczna - powiedziała Molly, zanim zdążyła ugryźć się w język. Sama nie dałaby rady uratować zwierzęcia, a dzięki Jacksonowi zapobiegła jego bezsensownej śmierci.

- Wiesz, że nie zdołasz ocalić całego świata. - Jackson patrzył na nią, próbując odgadnąć jej myśli.

- To prawda.

- Molly... - Zanim zdążył się zorientować, co robi, przyciągnął ją do siebie.

Dlaczego? Dokładnie nie wiedział. Była taka samotna. Klęczała na piasku, patrzyła w kierunku, w którym znikły kangury, i drżała. Po prostu musiał ją do siebie przytulić, pocieszyć...

Nie. Nie chodziło tylko o to. Chciał sprawić przyjemność sobie. Czuli bicie jej serca i ciepło jej ciała. Musnął wargami jej mokre włosy, a kiedy pytająco uniosła głowę, w zupełnie naturalny sposób pocałował ją.

Cóż to był za pocałunek! Smakowała solą i morzem. Smakowała...

Czym? Sam nie wiedział. Wiedział tylko, że jeszcze nigdy nie doświadczył czegoś podobnego.

Całował w życiu wiele kobiet. Ich usta były miękkie, kuszące, namiętne, uszmkowane. Żadne jednak nie dorównywały tym.

Przy pierwszym zetknięciu warg odniósł wrażenie, jakby nie oczekiwała tego pocałunku, nie chciała go, nie była pewna, jak na niego zareagować.

Ale nie odsunęła się. Odpowiedziała nieśmiało, wyczekująco, nie rozumiejąc, dlaczego ją całuje.

Potrzebowała pocieszenia, upewnienia się, że istnieje coś, co można przeciwstawić śmierci - życie. Wreszcie udało się, i oto miała przed sobą mężczyznę, który mógł jej pomóc. Był silny, wspaniały...

Jej ręce powędrowały do góry, objęła jego twarz i rozchyliła usta. Przyjęła go. Uczciła tym pocałunkiem odniesione zwycięstwo.

Słońce wysuszyło ich ciała. I choć za chwilę mieli oprzytomnieć, przyłgnęli do siebie z desperacją, nie bacząc na konwenanse i obowiązujące normy. Byli tylko oni, słońce, piasek i silna potrzeba bliskości.

Kiedy się w końcu od siebie oderwali, nie czuli zmieszania. Tylko głęboką pewność, że zrobili właściwą rzecz. Ze znaleźli się we właściwym czasie i we właściwym miejscu. I że pasują do siebie jak dwie połówki jabłka.

Zobaczył w oczach Molly iskierki szczęścia i akceptację. Wiedział, że czerpała radość z bycia z nim. Nie interesowały jej korzyści, jakie mógł jej przynieść taki związek.

Sięgnęła ręką, by dotknąć jego włosów.

- Wyglądasz z tymi wodorostami jak król Neptun.
- Ty też masz na głowie koronę. - Zdjął z jej ramienia liść i odrzucił go. - Pewnie oboje wyglądamy jak...

- Rozbitkowie? - wpadła mu w słowo. - Ale przyznaj, że było warto. Skinął głową.

- Chciałbyś to zrobić jeszcze raz?

- Nie sądzę, żeby kangur był aż tak głupi.

- Czy ja mówiłam o kangurze? - zachichotała i zaczęta otrzepywać spodnie z piasku. - Zobacz, jakiego siniaka sobie nabiłam - powiedziała, podwijając nogawkę.

Zupełnie, jakby nic między nimi nie zaszło. Nie wiedzieć czemu, Jackson czuł się poirytowany. W końcu pocałował ją nie byle kto.

I nie byle jak.

Uległa mu zapewne pod wpływem chwili, poddała się emocji. Oboje wiedzieli, że ten pocałunek nie ma żadnego znaczenia.

- Ja mam podobne - powiedział, starając się, by jego głos zabrzmiał normalnie.

- Mogę zobaczyć?

- Nie ma mowy. Są w miejscu, którego szanujący się pośrednik handlu nieruchomościami nie powinien oglądać.

- Zakazane terytorium?

- Coś w tym rodzaju. - Uśmiechali się do siebie jak para dzieciaków i znów miał ochotę ją pocałować. Ale przecież nie mógł tego zrobić.

Nie, nie mógł. Molly Farr nie należała do osób, z którymi można trochę poplirtować, a potem zostawić. To byłoby igranie z ogniem.

Co też mu chodzi po głowie? Czy ostatnie miesiące niczego go nie nauczyły? Czyż on i Cara nie zawarli umowy? Żadnych związków z osobami, w których mogliby się zakochać. Żadnych zobowiązań.

Potrząsnął głową, odpędzając natrętne myśli, i zdołał się uśmiechnąć. Wstał i wyciągnął rękę do Molly.

Popatrzyła na jego dłoń, po czym podała mu swoją. Jakby podjęła jakąś decyzję. A on poczuł, że jej ręka jest silna i ciepła.

- Powinniśmy ruszać w powrotną drogę - wydusił z siebie. Popatrzył na rzekę, starając się za wszelką cenę omijać wzrokiem Molly. - Gdzie jest twój koń? - spytał nagle. - Pewnie go źle przywiązałaś.

- Musimy się pospieszyć. Jak dotrze do domu beze mnie, wywoła panikę. Nie chcę, żeby Sam się denerwował - powiedziała i ruszyła wzdłuż rzeki.

Podążył za nią, ogromnie niezadowolony ze sposobu, w jaki go traktowała.

- Nie chcesz przestraszyć Sama, ale rzucasz się do wody, nie zważając, że możesz utonąć.

Zatrzymała się w pół kroku i odwróciła się. Złość, jaką usłyszała w jego głosie, zaskoczyła ją.

- Nie narażałam się na niebezpieczeństwo. Gdybym nie potrafiła uratować kangura, nie ryzykowałabym.

- A gdyby porwał cię prąd?

- Wiesz dobrze, że przy ujściu jest płytko, a prąd jest tam znacznie słabszy. Wypłynęłabym, zanim dotarłabym do skał. To oczywiste.

- Och, Molly, mogłaś zginąć.

- Nieprawda. Nie rób ze mnie jakiejś lekkomyślnej, głupiej bohaterki.

- A niby kim jesteś? Stajesz na głowie, żeby uratować żabę, ryzykujesz życie, by wyłowić kangura, adoptujesz sierotę...

- Przestań! - Tym razem ona nie kryła złości. - Wzięłam Sama dla siebie samej. To prawda, że on mnie potrzebuje, ale i ja potrzebuję jego. Dzięki niemu nie jestem samotna. Jeśli chcesz znaleźć bohaterkę, szukaj jej w powieściach przygodowych, a mnie daj spokój.

- Ja tylko...

- I nie sądz, że rzucę cię w ramiona, jak zrobiłaby to większość kobiet - warknęła, ruszając energicznie naprzód.

- Nigdy tak nie myślałem.

- W takim razie, dlaczego mnie pocałowałaś? - spytała, ponownie się zatrzymując.

- Specjalnie się nie broniłaś.

Oparła dłonie na biodrach i popatrzyła na niego kąpiąco. Jackson nie mógł oderwać od niej zachwyconego spojrzenia.

- Odwzajemniłam pocałunek, chociaż wcale nie miałam takiego zamiaru. Było mi zimno.

- Drżałaś.

- Ty również.

- Ja? Drżałem? - Uniósł w zdziwieniu brwi.

- Tak. Pan Bohater Baird drżał jak osika.

- Nieprawda.

- Właśnie, że tak. Bałam się, że doznałeś szoku i zaraz umrzesz.

- Nie chciałaś stracić cennego klienta?

- Naturalnie. Powiedziałam ci już, że Trevor by mnie zabił, gdyby coś ci się stało. Tylko dlatego cię pocałowałam. Żebyś się uspokoił.

- Dobre sobie.

Nic więcej nie pozostało do powiedzenia, ruszyli więc zgodnym krokiem do konia. Nadal czuli dziwną więź. Zupełnie jakby byli parą.

Nie, to przecież czyste szaleństwo...

- Mam mokre skarpetki - jęknął Jackson, kiedy doszli do miejsca, gdzie stał uwiązany jego koń.

- Ja swoje zdejmuję. - Molly usiadła na trawie i w-prowadziła słowa w czyn. Jackson przyglądał się jej z dziwnym wyrazem twarzy. - Co? Nigdy nie widziałeś gołych stóp?

Naturalnie, że widział. Nie miał pojęcia, dlaczego tym razem ten niewinny widok tak go poruszył.

- To szalenie seksowne - mruknął, a ona w odpowiedzi zachichotała pod nosem.

- Nie masz zamiaru zrobić tego, co ja?

- Masz na myśli striptiz? Bynajmniej. - Usiadł i założył buty na mokre skarpety.

- Boisz się, że zasłabnę, jak zobaczę twoje nagie palce u nóg?

- Nie, ale nie założę butów na bose stopy. Zdarłbym skórę.

- Przecież nie musisz iść. Masz konia.

- Ty na nim pojedziesz.

- Cóż za wspaniałomyślność. Dziękuję bardzo, ale nie skorzystam,

- A to dlaczego?

- Żeby Trevor dowiedział się, że kazałam klientowi iść pieszo? Nic z tego. Za bardzo zależy mi na posadzie u niego.

- Wsiadaj. Nic nie powiem Trevorowi.

- Nie ma mowy.

- W takim razie idziemy oboje na piechotę.

- To śmieszne.

- Śmieszne czy nie, ale tak właśnie będzie.

Rozdział piąty

Mniej więcej pół godziny później Gregor ujrzał zbliżającą się do domu przemoczoną parę. Jackson prowadził konia za uzdę, a Mody szła z drugiej strony. Gregor odetchnął z *ulgą*. Nie chciał martwić żony, ale był już gotowy wsiąść na motor i nie bacząc na chore biodro, wyruszyć na poszukiwanie wycieczkowiczów.

Najwyraźniej jednak nic poważnego im się nie przydarzyło. Dziewczyna śmiała się, a i koń wyglądał na zdrowego. Tylko dlaczego szli na piechotę?

- Wystraszyliśmy was? - krzyknęła Molly w stronę gospodarza.
 - Nie, panienko. No, może trochę. Gdy zobaczyłem samego konia, pomyślałem, że pani z niego spadła.
 - Nic podobnego. Po prostu za lekko go przywiązałam.
 - Ratowaliśmy małego kangurka porwanego przez prąd rzeki - wyjaśnił Jackson, nie spuszczając wzroku z Molly. Ta dziewczyna coraz bardziej go fascynowała. Była potargana, brudna, ale radośnie roześmiana. Cara umarłaby chyba ze wstydu, gdyby ktoś zobaczył ją w takim stanie. Podobnie jak każda inna kobieta z tych, które znał. Tylko nie Molly. Ona nie zwracała na to najmniejszej uwagi.
 - A Sam? On też się martwił?
- Starszy pan potrząsnął przecząco głową.
- Nic mu nie powiedziałem.
 - Bardzo dobrze.
 - A co z waszym kangurem?
 - Chciał się przepawić przez rzekę, ale porwał go prąd.

- Takie rzeczy czasem się tu zdarzają. W podobny sposób straciłem kiedyś cielaka. Na zakręcie rzeki gromadzą się gałęzie i zwierzęta na nie wchodzi. Powinno się to codziennie sprawdzać i usuwać. - Popatrzył na nich, jakby oczekiwał uderzenia.

Molly wiedziała, o czym myśli. Gdyby Jackson kupił farmę, Gregor nie mógłby liczyć na posadę zarządcy. Rozumiał to i nie ukrywał, że nie daje sobie rady z obowiązkami.

- Jesteś jedynym mężczyzną zatrudnionym tu na stałe? - spytał wolno Jackson. Molly była pewna, że za chwilę powie coś o przejściu na emeryturę.

- Tak. - Gregor skinął głową, czekając na nieuniknione.

- Zgodnie z moim przewodnikiem, na terenie posesji są dwa małe domki. Domyślałam się, że ty i Doreen zajmujecie jeden z nich, mam rację?

- Tak. Drugi stoi pusty.

- Ale nadaje się do zamieszkania?

- Jak najbardziej. To uroczy domek na południu rzeki. Nad samą zatoką. Mieszkał w nim poprzedni zarządca.

- Na szczęście mamy już zarządcę - powiedział twardo Jackson. - Myślę jednak, że przydałby ci się pomocnik. I to na stałe. Posiadłość jest na tyle duża, że powinno pracować kilku mężczyzn. Co byś powiedział, gdybym zaproponował ci przeszkolenie kandydatów?

- Mam ich przeszkolić i odejść?

- Ależ skąd! Jeśli kupię tę farmę, będę potrzebował ludzi, którzy znają ją na pamięć. Moglibyście pracować z Doreen do emerytury, a potem pozostać tu w charakterze doradców. Twarz Gregora rozjaśniła się.

- Naprawdę pan tak myśli?

- Nie kupiłem *jeszcze*; tego miejsca - ostrzegł go Jackson. - Ale jeśli to zrobię, tak właśnie postąpię.

Mężczyzna odetchnął z widoczną ulgą.

- W takim razie zrobimy z Doreen wszystko, co w *naszej* mocy. aby pan zdecydował się na kupno - powiedział Gregor z prostotą. - Proszę wejść do środka i zobaczyć, co Doreen ugotowała. Mozę to pana przekona.

Molly również nie kryła zadowolenia. Zupełnie jakby Jackson zdał pomyślnie egzamin z *człowieczeństwa*.

Jeśli Jacksonowi *potrzeba*, było więcej przekonujących argumentów, dostarczyła mu ich Doreen.

Ciasto beżowe. Szwedzka bułka. Pieczone paszteciki. Nadziewane ciasteczka. Molly stanęła w drzwiach kuchni i zamrużyła powiekami, patrząc na ustawione na stole smakołyki.

- Chodź, zobacz, co zrobiliśmy. - Rozpromieniony Sam popatrzył na nią znad ogromnej misy, którą właśnie kończył *wylizywać*. - Pani Gray to najlepsza kucharka na świecie.

- Właśnie widzę - powiedziała Molly, spoglądając na Jacksona. Zapewne był równie głodny jak ona, a rozchodzące się po kuchni zapachy kusiły tak, że z trudem powstrzymywała się przed rzuceniem na jedzenie. '

- Imponujące - potwierdził Jackson, patrząc z uznaniem na Doreen i Sama. - Pomagałeś przygotowywać to wszystko?

Był coraz miłszy. Bardzo miły, pomyślała Molly i natychmiast sama się zgañiła, upominając się w duchu, że Jackson jest tylko klientem, nikim więcej.

- Sam zwijałem szwedzką bułkę. I kładłem tłuszcz na patelnię, żeby usmażyć ryby. - Sam przerwał wylizywanie miski i popatrzył na nich uważnie. - Pływaliście?

- Tak - odpowiedziała pospiesznie Molly, rzucając Jacksonowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Beze mnie?

- Przecież nie lubisz pływać.

- Ale... Mógłbym spróbować. Z panem Bairdem.

A więc i Sam uległ niezwykłemu urokowi tego człowieka Cóż. nie było to dla niego zbyt bezpieczne, podobnie jak dla niej.

- Sam, pan Baird przyjechał tu w interesach i nie będzie miał dla ciebie czasu.

- To prawda? - Chłopiec spojrział pytająco na Jacksona. Jego wzrok mówił, że pływanie bez nowego znajomego zupełnie go nie pociągało. Któż mógłby się oprzeć takiej prośbie?

Jackson uśmiechnął się i skapitulował.

- Zgoda, popływamy razem. Ale najpierw muszę spróbować waszych specjałów. - Usiadł przy stole i sięgnął po ciasteczko. - Nie jadłem takich, odkąd skończyłem sześć lat. Pani Gray, jest pani mistrzynią kuchni.

- Proszę się częstować - zachęcała rozpromieniona kobieta i Molly, z niewiadomych przyczyn, zebrało się na płacz. Czuła się nie jak pośrednik handlu nieruchomościami, lecz raczej jak wysłannik losu, którego zadaniem było połączenie tego miejsca z człowiekiem, dla którego zostało ono przeznaczone. A ona i Sam? Myśl, że mogliby stać się częścią tej idylli, przyprawiła ją o drzenie. Jackson popatrzył na nią znad kosza z ciastkami, jakby odgadł, o czym myśli.

- Znaleźliśmy przyjaciela dla Lionela - oznajmił triumfalnie Sam, niczego nieświadomy.

Molly chciała spojrzeć na siostrzeńca, ale nie mogła oderwać oczu od Jacksona. Zupełnie jakby jej wzrok przytrzymała jakaś tajemna moc.

- Dla... dla Lionela?

- Dla żaby - przypomniał Sam, a Molly skinęła głową. Naturalnie. Dla żaby.

Spojrzenie szarych oczu Jacksona zupełnie ją paraliżowało. Lionel. Żaba. Musi się skoncentrować.

- Znalazłeś przyjaciela dla Lionela? - Ugryzła kawałek ciasteczka i zakrztusiła się. Jackson uśmiechnął się i wstał, by poklepać ją po plecach. W niczym jej to nie pomogło, a nawet chyba pogorszyło sprawę.

- Pan Gray zabrał mnie do szopy z tyłu domu. - Cierpliwość chłopca została wystawiona na ciężką próbę. Doprawdy, ci dorośli są czasem zupełnie nie do zniesienia. - Pan Gray mówi, że Lionel jest żabą drzewną albo lit... litoria coś tam i że to chłopiec. Szukaliśmy, szukaliśmy i znaleźliśmy mu dziewczynę! Też drzewną. Wzięliśmy ją, a kiedy Lionel poczuje się lepiej, przywieziemy ich tu razem. Będą żyli w naturalnym środowisku.

- To wspaniale, ale...

- Ale co?

- Nie jestem pewna, czy będziesz miał okazję przyjechać tu jeszcze raz - powiedziała Molly miękko.

- Oczywiście, że tak. Państwo Gray to moi przyjaciele, a pan Baird kupi farmę. On też jest moim przyjacielem, więc...

- Sam...

- Wiesz co? - przerwał im przysłuchujący się tej wymianie zdań Jackson. - Jeżeli nie będziesz miał okazji tu przyjechać, może ja odbyłbym specjalną podróż, aby uwolnić twoje żaby. Co ty na to?

- Przyjechałbyś tu tylko po to, aby uwolnić dwie żaby?
- Głos Molly był o oktawę wyższy niż zazwyczaj.
- To wyjątkowe żaby. Nie wiesz, że populacja żab na naszym globie jest zagrożona? To byłby mój osobisty wkład w zachowanie tego gatunku.

- Obawiam się, że twoja reputacja jest mocno zagrożona

- stwierdziła, kręcąc głową. Jackson popatrzył na nią z lekką drwiną.
- Reputacja kobieciarza?
- Twardego biznesmena.
- Więc mogę pozostać przynajmniej kobieciarzem? - Nie przestawał się śmiać.

- Możesz pozostać, kimkolwiek sobie chcesz - oznajmiła, wstając gwałtownie od stołu. Jego roześmiane oczy miały na nią zgubny wpływ. Nie pozwoli, aby z niej drwił.

- Idę się wykapać - oznajmiła.

 Jackson wstał również i uśmiechnął się ponownie.

- Ja także.
- Mam nadzieję, że są tu dwie łazienki - powiedziała szybko, by pokryć zmieszanie.
- Cztery - poinformowała usłużnie Doreen, która dotąd w milczeniu przysłuchiwała się ich rozmowie.
- W takim razie nie ma problemu. - Molly uśmiechnęła się słodko. - Ośmielałam się ci przypomnieć, że przed obiadem powinieneś usiąść z Gregorem i przejrzeć księgi - wycodziła życzliwie.

Rzeczywiście, powinien to zrobić.

- Pomyślałam, że może chcielibyście zjeść posiłek na plaży. Zrobiłabym mięso z grilla - zaproponowała Doreen. - Jest taki wspaniały wieczór.

- Wydaje mi się, że pan Baird będzie zbyt zajęty...

- Zbyt zajęty, by zjeść na plaży? - przerwał jej Jackson i potrząsnął głową. W jego oczach dostrzegła wyzwanie. - Nic podobnego. Proponuję, abyśmy spotkali się ponownie za... powiedzmy dwie godziny. Odpowiada to pani, panno Farr?

Zupełnie jakby zapraszał ją na randkę, a przy tym patrzył na nią z lekką drwiną, trochę wyzywająco, i musiała bardzo się starać, aby nie stracić nad sobą panowania.

- Doskonale.

- Nie sprawia pani wrażenia ucieszonej tą perspektywą.

- Wręcz przeciwnie - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Jestem tak szczęśliwa, że z ledwością mogę mówić.

- To świetnie. - Wyciągnął rękę i dotknął lekko jej policzka. - W takim razie do zobaczenia na kolacji, panno Farr. Mam nadzieję, że będzie pani w równie radosnym nastroju jak teraz.

Z pewnością. Cóż innego jej pozostawało?

Wakacje od życia, pomyślała Molly, stojąc pod prysznicem. Tym był dla niej ten dzień. Sam nie odstępował państwa Gray na krok, a oni sprawiali wrażenie niezwykle zadowolonych z jego towarzystwa. Ewidentnie zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. A ona? Czy też się zakochała?

Nic podobnego. Cóż za głupie myśli? Zna tego człowieka zaledwie od dwóch dni.

Nie można zakochać się w kimś w tak krótkim czasie. Oczywiście, Jackson jest niezwykle przystojny, inteligentny i wprost niewiarygodnie bogaty. Podoba się kobietom i nie ma nic dziwnego w tym, że wpadł jej w oko. Wiedziała jednak, że złamał już wiele serc, a ona nie miała zamiaru dołączać do grona porzuconych przez niego kobiet.

Nie mogła jednak zaprzeczyć, że był miły. Chyba ludzie czasami się zmieniają? Przecież nie zamierza wychodzić za niego za mąż.

Zaraz, zaraz, o czym ona w ogóle myśli? Małżeństwo?

Chyba się zagalopowała. Wsunęła głowę pod prysznic i przykazała sobie w duchu wynurzyć się dopiero wtedy, jak ochłonie. Po trzydziestu sekundach uznała, że nic w jej poglądach się nie zmieniło. Wiedziała, że to tylko marzenia, ale nie chciała się ich pozbywać. Choć rozum podpowiadał jej, że to może okazać się niebezpieczne.

Byłoby miło spędzić z nim trochę czasu, a Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebujesz rozrywki. Od śmierci Sarah i zdrady Michaela twoje życie jest puste i monotonne, szeptał jej w duszy cichy głosik.

A jeśli złamie ci serce?

Zrobi to tylko wtedy, gdy na to pozwolisz. A przecież nie jesteś głupia. Wykorzystaj okazję, Molly Farr, i baw się dobrze. Hram,

Będę stapać po bardzo grząskim gruncie, pomyślała, decydując się jednak skorzystać z okazji, jaką zesłał jej łaskawy los. Zabawi się, a potem odejdzie z nienaruszonym sercem i miłymi wspomnieniami. Ale najpierw musi załatwić interesy.

- Od tej pory liczysz się tylko praca - powiedziała do siebie. - Jeden pocałunek niczego nie oznacza.

Choć potrafi rozbudzić długo tłumione namiętności.

A Jackson? Usiadł przy biurku z Gregorem i zajął się przeglądaniem ksiąg i rachunków. Niestety, nie potrafił się skoncentrować, co było dla niego bardzo nietypowe. Zazwyczaj, kiedy chodziło o interesy, jego umysł pracował jak najbardziej precyzyjny komputer i nie odbierał żadnych bodźców z zewnątrz. Jednak nie tym razem... Zestawienia rachunków wyglądały dobrze. Bardzo dobrze. Wiedział, że mógłby zrobić z tą farmą, co tylko zechce, ale skoro Gregor ma jakieś' własne wizje, niech je sobie realizuje. On miał głowę zajęłą czym innym. A raczej kimś innym.

Molly.

Nie miał pojęcia, dlaczego jej osoba tak zaprzętała jego myśli. To prawda, że była atrakcyjna, miała wspaniałą uśmiech, ale przecież widywał kobiety znacznie od niej piękniejsze. Więc co w niej takiego było, że nie potrafił przestać o niej myśleć?

Kiedy ją całował, to coś omal go nie powaliło z nóg.

Już raz doświadczył podobnych uczuć i nie miał zamiaru dopuścić, aby to się powtórzyło. Prowadził życie, jakie chciał, i nie było w nim miejsca na trwały związek.

- Panie Gray? Panie Baird? - Sam stanął w drzwiach, przyciskając do piersi pudełko z żabą.

- Tak? - Starszy mężczyzna uśmiechnął się do chłopca zachęcająco.

- Czy jeśli pan Baird kupi tę farmę, nie wyrzuci z niej wszystkich żab?

- Ależ skąd! - zaprzeczył energicznie Jackson, ale Sam nie wyglądał na przekonanego.

- Pani Gray mówi, że staw jest najpiękniejszym miejscem na farmie, ale powiedziała, że poprzedni ludzie, którzy chcieli kupić posiadłość, zamierzali go powiększyć. Sprowadzili tu geodetów i panna Copeland

tak się zdenerwowała, że się rozmyśliła. Pani Gray powiedziała mi, że z tej ulgi aż się popłakała. Ale to było pięć lat temu. - Spojrzał na Jacksona. - Więc ja i pani Gray chcielibyśmy wiedzieć...

A więc panna Copeland myślała już wcześniej o sprzedaży posiadłości. Jak widać nie bardzo jej na tym zależało, skoro zwlekała aż pięć lat. A pomysł z powiększeniem stawu wydał mu się całkiem rozsądny. Gdyby zdarzyło się wyjątkowo gorące lato, trzeba by pompować wodę z niższych poziomów, a to byłoby zbyt drogie.

Sam czekał na odpowiedź.

- Myślisz, że panna Copeland nie sprzedałaby mi posiadłości, gdybym zamierzał powiększyć staw?

- Pani Gray twierdzi, że żaby by tego nie przeżyły. Buldożery zniszczyłyby wszystkie rośliny, zginęłyby owady i żaby nie miałyby co jeść.

Mężczyzna i chłopiec mierzyli się wzrokiem przez dłuższą chwilę.

- Uważasz, że powinienem kupić tę farmę? - zapytał w końcu Jackson.

Sam zastanowił się.

- Tak. Pani Gray uważa, że pan się nadaje. Ale martwimy się o żaby. Musiałby pan nam obiecać, że nic im się nie stanie.

I Jackson podjął decyzję. Niezależnie od tego, czy była ona sensowna, czy nie, postanowił kupić posiadłość.

- Dobrze, obiecuję.

- Powiedział, że kupi farmę!

Molly nadal stała pod prysznicem, ale Sam nie zamierzał czekać, aż ciotka skończy. Wiadomość była zbyt ważna, by zwlekać z jej przekazaniem.

- Ocali żaby i pozwoli im tu żyć na zawsze!

- Tak powiedział? - Molly sięgnęła po ręcznik, choć Sam najwyraźniej nie zwracał uwagi na fakt, że ciotka jest naga.

- Tak.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie.

Chłopiec stał w drzwiach łazienki, wciąż przyciskając do piersi pudełko z żabą. Zawołał kogoś i przerażona Molly ujrzała nagle, że znajduje się w polu widzenia Jacksona.

- Panie Baird, proszę powiedzieć cioci, że kupuje pan farmę.

- Nie, Sam, nie! - Molly chciała zamknąć drzwi, ale było za późno. Jackson stanął obok chłopca i obaj przyglądali się jej z niekłamanym zainteresowaniem, choć każdy z innych powodów.

- Panno Farr, jak się domyślam, chciałaby pani oficjalnie zostać poinformowana o decyzji, jaką podjąłem - powiedział śmiertelnie poważnym głosem Jackson.

Molly otuliła się mocniej ręcznikiem i wyprostowała się z godnością.

- Naprawdę chcesz sfinalizować transakcję?

- A dlaczego miałbym tego nie zrobić?

- Zgadzasz się na proponowaną cenę? - Nie miała zamiaru pozwolić, aby fałszywa skromność przeszkodziła jej *v dokonaniu sprzedaży.

- Zgadzam się.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie znam dodatkowych warunków panny Copeland?

- Ja również ich nie znam i oczywiście moja ostateczna decyzja zależy od nich. Domyślam się, że żaby stanowią jeden z punktów.

- O czym on mówi? - Molly spojrzała pytająco na siostrzeńca.

- Panna Copeland troszczy się o żaby, a pan Baird obiecał, że je ocali.

Do diabła z żabami! Właśnie próbuje dokonać transakcji swojego życia, a oni nieustannie plotą coś o jakichś żabach.

- No dobrze. Na pewno będą dodatkowe warunki i muszę dowiedzieć się jakie - powiedziała z godnością, próbując zachować odpowiedni ton, pomimo że stała przed klientem niemal nago.

Jackson najwyraźniej doskonale bawił się całą sytuacją.

- Na co czekasz? - Rozłożył ramiona i oparł się o framugę. - Siedzisz sobie w pianie, zamiast sporządzać umowę wstępną...

- Odejdź stąd!

- Chcesz, żebym odszedł? Mam powiedzieć Trevorowi, że kiedy chciałem podpisać kontrakt, kazałaś mi odejść?

- Nie mam w łazience niezbędnych dokumentów.

- Jesteś pewna, że nie schowałaś ich gdzieś na sobie? Tego było za dużo. Ten facet nie miał wstydu!

- Gdyby tak było, zapewne nieco by się zniszczyły, a ja dbam o papiery - odpowiedziała oschle.

Jackson uśmiechnął się i położył rękę na ramieniu Sama. Patrzyli na nią obaj, bawiąc się doskonale jej kosztem. Dawno nikt jej tak nie upokorzył.

Sam przywarł do Jacksona, instynktownie czując, że ma w nim oparcie. Chłopiec potrzebuje właśnie kogoś takiego, pomyślała Molly. Co więcej, ona także potrzebowała...

- Molly, piana znika. Za chwilę nie będzie po niej śladu - poinformował ją uprzejmie Jackson.

Dziewczyna nerwowym gestem poprawiła ręcznik, jakby od kawałka materiału zależało jej życie.

- Sam, zabierz pana Bairda i zamknij drzwi - poleciła siostrzeńcowi.
- Tu nam wygodnie - oznajmił beztrósco chłopiec i uśmiechnął się szeroko.

- Sam, bądź posłuszny. Pamiętaj, że na ciebie liczę.
- Dlatego właśnie zostajemy. Ponieważ na nas polegasz
- powiedział Jackson.
- Na tobie nie polegam.
- Słyszałeś, Sam? I w dodatku mówi to do człowieka, któremu chce sprzedać farmę.

- Wyoście się! - Molly nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Jackson wzbudzał w niej uczucia, jakich u siebie nie podejrzewała. - Natychmiast! - ponagliła, nie spuszczać wzroku z Jacksona.

Ten mężczyzna wzbudzał w niej niepokój. On też wciąż na nią patrzył, ale uśmiech stopniowo zniknął z jego twarzy. Powoli skinął głową, jakby podjął jakąś decyzję.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Zrozumieliśmy, że nie jesteśmy tu mile widziani. - Odwrócił się i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Zanim ubrała się i wysuszyła włosy, zdołała niemal całkowicie odzyskać panowanie nad sobą. Niemal. Czesząc się, nie myślała o tym, co robi, i skutek był taki, że każdy włos sterczał w inną stronę. Cóż, wystąpi na pikniku rozczochrana. W końcu jakie to ma znaczenie?

Włożyła džinsy, czystą koszulę, po czym zmieniła zdanie i spodnie zastąpiła spódnicą. Jednak po chwili wróciła do džinsów. Sam stał nad nią i nieustannie ponaglał.

- Co się tak guzdrzesz? Nie wiesz, że pan Baird na nas czeka?

Właśnie dlatego tak długo się szykowała. Po raz ostatni przejechała szczotką po włosach i ruszyła w stronę kuchni. Pan Baird rzeczywiście czekał.

Ku jej rozczarowaniu okazało się, że Doreen i Gregor nie mają zamiaru przyłączyć się do nich.

- Gregor nie cierpi piasku - wyjaśniła Doreen, spoglądając na męża z czułością. - Wydawałoby się, że po czterdziestu latach mieszkania obok plaży powinien do niego przywyknąć.

- Nigdy nie przywyknę. Wciska się w każdą szparkę i wszędzie go pełno.

- Nie lubisz mieć piasku między palcami nóg? - spytał z niedowierzaniem Sam, spoglądając na buty Gregora.

- Nie mów mi, że ty to lubisz. Choć o gusty nie należy się spierać. Doreen zapakowała wam wszystko na piknik, a ja zjem jak dżentelmen przy stole.

I tak też się stało. Mieli jeść na plaży we trójkę. Molly, Jackson i Sam.

Widok był wspaniały. Słońce chyliło się ku zachodowi, chowając się za wzgórze. Jego promienie oświetlały pomarańczowym światłem plażę i zatokę. Piasek oddawał zgromadzone w ciągu dnia ciepło, a od wody wiał leciutki wiatr. Gregor był tu wcześniej i rozpałił ogień.

- Główne danie to wołowina pieczona w popiele. Jak zgłodniejecie, po prostu ją odkopcie.

A może zjeść tylko jedzenie z koszyka? Była tego taka ilość, że same przekąski wystarczyłyby, aby się nasycić. Doreen przeszła samą sie-

bie. Ślimaki z lodu, ostrygi w muszlach, ciepłe bułeczki, kanapki, szparagi, kurczak, awokado, wędzony łosoś...

I słodczyce...

- Państwo Gray najwyraźniej są przekonani, że przez całe dotychczasowe życie głodowaliśmy - powiedziała z uśmiechem Molly.

- Nie ma co narzekać. Sam, zjesz bułeczkę? Lemoniadę? Panno Farr, szampana?

- Dali nam cztery różne butelki wina. Skąd je wzięli?

- Pani Gray dzwoniła do kogoś, jak was nie było - wyjaśnił Sam. - Przywieźli nam te wszystkie smakołyki samochodem.

- Będziecie chyba musieli nieść mnie do domu. Jak to zjem, nie zdołam dojść o własnych siłach. - Molly potrząsnęła przecząco głową na propozycję alkoholu. - Poproszę o lemoniadę.

- Boisz się, że stracisz nad sobą kontrolę? - zażartował Jackson.

- Nie, ale jestem ostrożna.

- Z powodu mojej reputacji?

- Wątpię, żebyś pokusił się o uwodzenie mnie, gdy jesteśmy tu z Samem.

- Co to znaczy uwodzić? - Sam zachowywał czujność.

- To znaczy sprawić, żeby pani cię pocałowała, choć wie, że nie powinna tego robić - wyjaśniła Molly, na co Jackson wybuchnął śmiechem.

- To znaczy, że twoja ciotka bardzo, ale to bardzo chciałaby mnie pocałować, ale uważa, że nie wypada jej tego robić.

- Więc dlatego przebiegała się trzy razy, zanim zdecydowała, co na siebie włożyć? - spytał z zainteresowaniem Sam, a Molly roześmiała się. Co innego jej pozostało?

- Daj mi bułeczkę z kielbaską - poprosił Sam. - Przez te głupie rozmowy o całowaniu jestem głodny. - Popatrzył na nich, zastanawiając się nad złożonością świata dorosłych. - Myślałem, że dziewczyny lubią całowanie. - Cała sprawa najwyraźniej nie dawała mu spokoju. - Nie chcecie się pocałować? Ani trochę?

- Sam, dlaczego, na Boga, miałabym chcieć pocałować pana Bairda? Przez chwilę Sam rozważał w duchu pytanie ciotki.

- No tak. Ja bym nie chciał. Ale pewnie są ludzie, którzy by to lubili.

- Całowanie może być niebezpieczne. Czytałeś przecież bajki. Jackson mógłby zamienić się w żabę.

- Albo w księcia.

- Nie, żaden milioner nie zamieni się w księcia. Zawsze robią się z nich żaby. Takie są zasady.

- Ale my lubimy żaby.

- Żaba Jackson? Nie sądzę. Ponadto, on zmieniłby się raczej w ropuchę.

- Wielkie dzięki - powiedział sucho Jackson.

- Nie ma za co. - Molly uśmiechnęła się słodko. - A teraz bierzmy się do jedzenia. Umieram z głodu.

Sam porzucił temat całowania. Z radością, chichocząc co chwila, poddał się magii, jaka ich otaczała. Od śmierci rodziców tak rzadko się śmiał. A teraz, siedząc na piasku oparty o Jacksona, zjadał kielbaskę. Wyglądał, jakby należał do tego miejsca.

- Ja też umieram - powiedział pomiędzy jednym kęsem bułki a drugim. - A pan, panie Baird?

- Jestem taki głodny, że już nie żyję.

Rozdział szósty

W tym miejscu wszystko było magiczne. Piasek, jedzenie, morze, noc. Kiedy zjedli i odpoczęli po obfitej kolacji, wzięli Sama do kąpieli. Chłopiec bał się wody, więc po prostu skakali we troje przez fale, aż zupełnie opadli z sił. Byli kompletnie przemoczeni.

- Dlaczego nie zabraliśmy kostiumów? - spytała retorycznie Molly.
- Jesteśmy cali mokrzy.

- Sam, co byś powiedział, gdybym zaproponował ci jutro prawdziwą lekcję pływania? Z przyjemnością cię pouczę - zagadnął nieoczekiwanie Jackson.

Molly wstrzymała oddech, jednak Sam najwyraźniej był zachwycony propozycją.

- Możemy spróbować.

Miała ochotę tańczyć. Krzyknęła z radości i wykonała w wodzie przedziwny piruet. Obaj panowie popatrzyli na nią, jakby postradała zmysły.

- Wiesz, twoja ciotka nie przypomina żadnej znanej mi kobiety interesu - stwierdził Jackson, a Sam tylko skinął głową.

- Bo ona nie jest kobietą interesu. Jest moją ciocią.

Moja ciocia Molly. Nigdy dotąd Sam nie wypowiedział zdania, które pozwalałoby sądzić, że się z nią w jakiś sposób identyfikuje. Chwyliła go pod pachy i zakręciła się w kółko, aż oboje ze śmiechem wpadli do wody. Kiedy podniosła wzrok, ujrzała Jacksona patrzącego na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Wyrazem, którego w żaden sposób nie potrafiła rozszyfrować.

- Co się stało? - spytała zaczepnie.

- Nic. Zamyśliłem się.

- Tylko mi nie mów, jaką to jestem nieodpowiednią osobą, by sprzedać ci farmę.

- Nic z tych rzeczy. Myślałem o tym, że jak się dobrze postaramy, zbudujemy największy zamek z piasku na świecie. A może wyrzeźbimy żabę?

- Żabę? - podchwycił Sam siedzący na kolanie ciotki. - W jaki sposób?

- Z piasku. Patrz i pomagaj. W przeszłości miałem kilka firm budowlanych. Teraz proklamuję powstanie Molly, Sam & Jackson Construction Company Ltd i zabieramy się do pracy.

Tak też zrobili. Godzinę później na plaży powstała ogromna, wysoka na cztery stopy żaba, patrząca na nich oczami z muszelek.

- Wygląda, jakby chciała zjeść nas na śniadanie - stwierdziła Molly, siadając na piasku i przyglądając się wspólnemu dziełu. - Och, Jackson, jest naprawdę wspaniała.

I nie tylko żaba. Cały wieczór był wspaniały. Sam położył się na piasku z głową na ramieniu ciotki i prawie zasypiał. Jeszcze nigdy od czasu śmierci rodziców nie był tak szczęśliwy jak dziś. Uśmiechał się spod wpróprzymkniętych powiek, a sen mieszał mu się z jawą.

- Jak ją nazwiemy? - mruknął.

- Może Lionel Drugi? - zaproponowała, przytulając chłopca do siebie.

- Świetnie. To będzie początek dynastii Lionelów. Panie Baird... Naucz mnie pan jutro pływać?

- Oczywiście - obiecał Jackson, ale Sam już spał, więc pogłaskał go tylko po policzku i szepnął: - A teraz posprzątamy tu z ciocią i zanieśmy cię do łóżka.

To była czysta magia.

- W Szkocji nazywają tę porę dnia magicznym zmierzchem - powiedziała miękko Molly, patrząc na śpiące dziecko. Sama też była senna. Najedzona, zmęczona i szczęśliwa.

- Magicznym zmierzchem? - Jackson popatrzył na nią pytająco.

- To czarodziejski moment pomiędzy końcem codziennej pracy, a czasem przeznaczonym na wypoczynek - wyjaśniła. - Świat zatrzymuje się, by złapać oddech. I czeka. Nie wiadomo na co, bo w tej chwili wszystko może się wydarzyć. Jest to czas pełen obietnic na następny dzień i na wszystkie inne dni.

Pomyślała, że mówi bzdury. Jednak kiedy patrzyła na Sama ściskającego przez sen muszelkę, tylko takie myśli przychodziły jej do głowy.

Ta magiczna pora stała się czasem uzdrowienia Sama.

A dla niej?

Dla niej również.

Zauważyła, że Jackson przygląda się jej bacznie, a wyraz jego twarzy omal nie pozbawił jej tchu.

- Powinniśmy wracać - powiedziała pospiesznie. Jackson nadal patrzył na nią tak, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

W końcu odzyskał głos. Ukląkł na piasku i pogłodził Sama po włosach.

- Biedny maty. To naprawdę niesprawiedliwe. Tak wiele stracił.

- To prawda. Ale dzięki tobie przeżył dziś wspaniały dzień.

- I dzięki tobie. Czuje się bezpieczny. Chyba najwyższy czas, by zapomniał o swoim smutku. Wyjdzie z tego.

- Skąd ta pewność?

- Przyglądałem mu się dzisiaj. Pozwalał do siebie podejść. Był ufny. Uwierzył, że świat nie jest znowu takim najgorszym miejscem.

- Mam nadzieję.

- Ja jestem pewien.

Powodowany nagłym impulsem przesunął ręką po jej policzku i brodzie.

Nie poruszyła się. Siedziała nieruchoma jak kamień.

Był zmierzch. Magiczny czas. Co się wydarzy teraz, już się nie od stanie.

- Molly...

Popatrzyła na niego pytająco.

- Mmm?

Nie wiedział, co powiedzieć. Wszystkie słowa wydawały mu się nieodpowiednie.

- Jesteś piękna. Uśmiechnęła się.

- Mniemam, że powinnam potraktować to jako wyszukany komplement.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Widziałam twoje fotografie u boku najpiękniejszych kobiet świata.

- Jesteś równie piękna jak one.

- Doprawdy? - Nie przestawała się uśmiechać, choć przy chodziło jej to z ogromnym trudem. - Gregor by się z tobą nie zgodził. Mam między palcami piasek, panie Baird. Piasek!

Zachichotał, ale nie poruszył się. Nadał klęczał przed nią, chłonąc oczami widok kobiety ze śpiącym dzieckiem na kolanach.

Niosła na ramionach taki ciężar! Nagle pomyślał, że chciałby stać się częścią jej życia. Mógłby jej pomagać.

- Potrzebujesz czegoś? - spytał, a Molly zmarszczyła brwi.
- Nie rozumiem.

- Mam na myśli... - zawahał się. Chyba nie powinien tego mówić, ale czuł, że nie może postąpić inaczej. - Chodzi mi o finanse.

W jednej chwili ogarnęła ją złość. Jak mógł zepsuć taką wspaniałą chwilę pytaniem o pieniądze? Potrząsnęła głową świadoma, że magia znikła.

- Nie. Dziękuję bardzo, ale już nam pomogłeś. Będę wdzięczna, jeśli dotrzymasz swojej obietnicy i pójdziesz jutro z Samem popływać.

- Oczywiście.
- W takim razie to wystarczy. Dziękuję.
- A później? Pozwolisz mi sobie pomóc?
- Nie zapominaj, że wyjeżdżasz za granicę. Stamtąd twoja pomoc nie na wiele się zda.
- Mógłbym was wesprzeć finansowo.
- Powiedziałam ci już przecież, że nie potrzebujemy twoich pieniędzy.

- A czego potrzebujecie?

Ten człowiek był niemożliwy. Czego ona potrzebuje? Co za pytanie. Coraz bardziej zaczynała wierzyć, że właśnie jego.

Ale Jackson nie mógł tego wiedzieć.

- Przyjaciół - powiedziała miękko. - Ludzi, którzy z nami będą, jak to się mówi, na dobre i na złe. - Uśmiechnęła się z żalem. - Nie meteorytów, które pojawiają się nagle i równie niespodziewanie znikają.

Mógłby zostać ich przyjacielem. Nawet gdyby miał ich widywać rzadko i przelotnie.

- Moglibyśmy się jeszcze spotkać, kiedy znowu będę w kraju?

- Sam na pewno byłby zachwycony. - Popatrzyła na niego z wyzwaniem w oczach. - Ale nie będziemy na to liczyć. Ważne jest, żebyś dotrzymał obietnicy i zabrał Sama na lekcję pływania. Obiecałeś mu też, że przywieziesz tu jego żabę. To też jest ważne. Błagam tylko o jedno... nie składaj obietnic, których nie będziesz mógł dotrzymać.

- Prosisz o to, żebym zostawił was w spokoju?

- Nie wiem - powiedziała, ale nagle zrozumiała, czego chce. Ten mężczyzna mógł tylko skomplikować jej życie, które od ostatnich sześciu miesięcy było już i tak wystarczająco pogmatwane. - Tak.

Popatrzyli na siebie w milczeniu.

Nie chodzi jej wyłącznie o Sama, pomyślał Jackson. Prosi przede wszystkim w swoim imieniu. Nie oferuj czegoś, czego nie będziesz mógł ofiarować. Nie baw się nami. Nie łam nam serc.

Cholera.

Patrzyła na niego w taki sposób, jakby naprawdę był do tego zdolny. Skutek był taki, że chociaż chciał obiecać jej najróżniejsze rzeczy, pocieszyć ją, nie zrobił tego, wiedząc, że nie zdoła wywiązać się z zobowiązań.

Wciąż na niego patrzyła. Na niebie zajaśniał księżyc i jego blask, zmieszany z luną bijącą z zachodu, oświetlał miękko jej twarz. Była taka piękna.

Nie mógł się powstrzymać.

Tylko raz, pomyślał i ujął jej twarz w dłonie. Pocałował ją.

Dlaczego nie? Dziecko spało, zostali sami. Kobieta i mężczyzna. Jaką szkodę może wyrządzić jeden niewinny, przelotny pocałunek?

Żadnej. Chyba że będzie w nim tyle namiętności, ile on zawarł w swojej pieszczocie.

Jakby spotkały się dwie połówki. To ich drugi raz. Pierwszy był wyrazem triumfu, ciepła, śmiechu i radości. Ten sięgał głębiej. Nie był zwykłą pieszczotą, jaką na co dzień obdarzają się setki par, ale pocałunkiem, który łączył na zawsze.

Ogarnął ich niewyobrażalny ogień. Ale i to wydawało się zupełnie naturalne. Jakby oboje przez całe życie szukali tego doznania i dopiero teraz doświadczyli go po raz pierwszy.

Nie mogli się od siebie oderwać. Klęczeli na brzegu morza, skapani w księżycowej poświacie jak para romantycznych kochanków.

Przyciągnął ją bliżej. Czuł pod palcami krągłości jej ciała, bijące z niego ciepło i jego miękkość. Delektował się, dotykał, chłonał każdym zmysłem...

A Molly po chwilowym szoku poddała się uczuciu, które z każdą sekundą ogarniało ją coraz bardziej. Była w domu. Wiedziała, że o cokolwiek poprosi ją ten mężczyzna, dostanie to, ponieważ i tak ofiarowała mu już najcenniejszy skarb, jaki posiadała - serce.

Jackson był taki męski i silny. Czuła, jak rozkwita w jego objęciach, jak pod wpływem jego dotyku każda cząsteczka jej ciała budzi się do życia. Kiedy jego dłonie zsunęły biustonosz i zaczęły pieścić piersi, jęknęła z rozkoszy. Wielkie nieba...

Wsunęła palce pod jego koszulę, chcąc poznać dotyk jego skóry, wypukłość i napięcie mięśni. Poczuć, jak bardzo jej pragnie.

Dobry Boże...

To nie może trwać. Wiedziała, że Jackson Baird jest poza jej zasięgiem. Teraz jednak ją całował i niczego więcej nie pragnęła. Niech trwa chwila, niech porwie ich fala. Nie miała zamiaru się opierać.

Jackson ponownie ujął w dłonie jej twarz. Odczytywał z niej wszystko - myśli, uczucia, nastroje. Nigdy dotąd nie doświadczył po-

dobnych wrażeń. Żadna kobieta nie dostarczyła mu przeżyć, jakie w tej chwili stały się jego udziałem.

Molly...

Tak bardzo jej pragnął. Czuł, jakby za chwilę miał eksplodować. Nie mógł jednak jej osiąść. Nie tu, nie teraz, obok śpiącego dziecka.

Właśnie w tej chwili Sam westchnął cicho przez sen. To wystarczyło. Czar prysł.

Pojawiło się zakłopotanie. Patrzyli na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Żadne z nich nie rozumiało do końca tego, co się wydarzyło. Wiedzieli tylko, że zaszło coś, co odmieniło ich życie.

Cisza ciągnęła się w nieskończoność. Wreszcie przerwał ją Jackson.

- Przepraszam - wyszeptał i odsunął się. A Molly poczuła wściekłość.

- Omal mnie nie uwiodłeś - powiedziała oskarży cielsko, biorąc Sama w ramiona, jakby miał służyć jej za tarczę. - Pocałowałeś mnie, a ja odwzajemniłam pocałunek.

Ton jej głosu wskazywał na to, że jeden pocałunek nie czyni związku. Miała rację. Nie chodziło tylko o pocałunek. To wszystko nie miało sensu. Nie było nawet możliwe!

Miał jasno sprecyzowane plany na przyszłość. Było w nich miejsce tylko dla niego i jego przyrodniej siostry.

- Daj mi Sama. - Wziął od niej dziecko i wstał. Molly, nie patrząc na niego, zaczęła zbierać pozostałości

po uczcie. Była wściekła, ale nie wiedziała, czy na niego, czy na siebie samą.

- Czas wracać - powiedział miękko Jackson, a ona skinęła głową. - To był wspaniały wieczór.

- Z wyjątkiem ostatnich minut - mruknęła pod nosem. -Te były po prostu głupie.

Po prostu głupie?

Leżąc w ciemności, Jackson zastanawiał się nad jej słowami. Po prostu głupie. Miała rację. Ich światy były oddalone od siebie o lata świetlne.

Dlaczego?

To pytanie natarczywie powracało w jego myślach. Dlaczego to jest niemożliwe? Ponieważ ona nie rozumie. Czego?

Nie rozumie jego.

Do diabła, nie powinien był pozwolić, aby sprawa zaszła tak daleko.

Nie wiedzieć czemu przyszli mu na myśl rodzice. Kochali się, ale odkąd pamiętał, robili wszystko, by zniszczyć się na wzajem. Ich związek przypominał nieustanną walkę. Potrzeba bycia razem zbliżała ich do siebie, nie dłużej jednak niż na kilka dni. Potem wybuchowe temperamente dawały o sobie znać i dochodziło do starcia. A on zawsze stał między nimi. Używali dziecka jako narzędzia. Taki rodzaj oręża.

- Prawda, że to mnie bardziej kochasz, Jackson? - dopytywała się matka, podczas gdy ojciec próbował go od niej odciągnąć.

- Jackson chce być ze mną.

Chłopiec nie chciał być z nikim, a kiedy stał się mężczyzną, nic się pod tym względem nie zmieniło. Jeśli tak ma wyglądać miłość, on nie chce jej doświadczyć.

Z takich przeżyć się nie wyrasta. Miłość nieodłącznie wiąże się z cierpieniem, czyni cię bezbronnym i sprawia ból. Historia z Dianę tylko utwierdziła go w tym przekonaniu.

Teraz był samotny i dobrze się z tym czuł. Kiedy miał dziesięć lat, ojciec odszedł od nich na dobre, a matka ukarała byłego męża w ten sposób, że związała się z innym mężczyzną. Z tego związku urodziła się Cara. Kiedy jednak okazało się, że ojciec specjalnie się tym nie przejął, matka wjechała rozpędzonym samochodem w drzewo. Z miłości.

Miłość nie przynosi niczego dobrego, pomyślał Jackson. Liczy się tylko Cara i nikt inny. Nigdy więcej nie chciał być od kogoś zależny. Nigdy.

- Pan Baird jest miły - powiedział sennym głosem Sam, kiedy Molly układała go do snu. Objął ją, by dać jej buziaka na dobranoc. Nigdy dotąd tego nie robił i Molly aż przysiadła z wrażenia na brzegu łóżka.

- Tak, Sam. Jest miły.

- Pocałował cię.

A więc Sam widział. Nie było sensu zaprzeczać.

- Rzeczywiście.

- Myślisz, że mógłby nas tak polubić, żeby się z tobą ożenić? Roześmiała się, ale był to wymuszony śmiech.

- Sam, przecież znamy go dopiero od wczoraj.

- Ale jest miły, sama powiedziałaś.

- Nawet bardzo miły. Ale to milioner, Sam. Obraca się w zupełnie innych kręgach i nie zadaje się z ludźmi takimi jak my.

- Dlaczego?

- Tak już jest. Jeśli w ogóle się ożeni, to z kobietą ze swojej sfery.

- To głupie. A co to jest ta sfera?

- To tak jak w bajce o Kopciuszku i księciu - wyjaśniła, zdejmując mu okulary i odkładając je na nocny stolik. - W moim przekonaniu Kopciuszek nie byłby szczęśliwy, wychodząc za księcia.

- Dlaczego?

- Bo musiałyby przez resztę życia dziękować mu, że się z nią ożenił, a to nie daje szczęścia.

- Może znalazłaby sobie jakąś dobrą pracę, jak ty. Mogłaby na przykład sprzedawać pałace.

- Świetny pomysł. - Molly głośno pocałowała chłopca. -A teraz śpij już, mój mały filozofie.

- Ale co z panem Bairdem?

- Szansa na to, że zostanie moim mężem, jest równie wielka jak ta, aby Lionel zamienił się w księcia.

Sam zaśmiał się i spojrział na stojące przy jego łóżku tekturowe pudełko.

- Na pewno byłby zadowolony, gdybyś go pocałowała.

- Przecież Lionel ma już narzeczoną! Mogłaby mi nieźle natrzeć uszu.

- Jesteś zabawna.

- Nie - powiedziała, poważniejąc. - Jestem rozsądna. Ktoś musi być.

- Panno Copeland?

Molly prawie nie spała w nocy. Wstała wcześniej, żeby zadzwonić do panny Copeland. Sądziła, że starsza pani będzie rano w lepszej formie niż wieczorem i nie myliła się. Hannah Copeland odebrała telefon zaraz po pierwszym dzwonku.

- Czekałam na twój telefon, moja droga. Jak moja farma podoba się panu Bairdowi?

- Chce ją kupić.
- Cieszę się. Czy trzy miliony to nie za wysoka cena?
- Powiedziałabym, że to bardzo dobra cena. Mówiąc szczerze, mogłaby pani zażądać więcej. Gdyby chciała pani zmienić jeszcze...
- Nie, moja droga, nie chcę.
- To miejsce jest warte znacznie więcej. Na pewno chce pani je sprzedać?
- Tak, ale tylko odpowiedniemu człowiekowi.
- I sądzi pani, że Jackson Baird jest właśnie kimś takim? Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza, jakby starsza pani zastanawiała się, ile może powiedzieć swojej rozmówczyni. W końcu zdecydowała się na szczerłość.
- Moja matka przyjaźniła się z babką Jacksona Bairda -oznajmiła. - Bardzo się martwiła o swego wnuka. Jak on sobie teraz radzi?
- Molly zamrugnęła powiekami.
- Powiedziałabym, że bardzo dobrze.
- Ale nie jest żonaty?
- Nie...
- Nie dziwi mnie to, bo pamiętam, jaki był związek jego rodziców. Wierzę jednak, że moja matka ucieszyłaby się, wiedząc, że sprzedaje posiadłość właśnie Jacksonowi.
- Panno Copeland, nie sądzę, aby pan Baird zasługiwał na jakieś specjalne względy. To bardzo bogaty człowiek. - Zawahała się, ale panująca w słuchawce cisza zachęciła ją do kontynuowania wątku. - Powiedziała pani w piątek, że zamierza pani przedstawić jeszcze jakieś dodatkowe warunki.
- Tak.
- Rozumiem, że państwo Gray to jeden z nich.

- Naturalnie. Nie chcę, aby Doreen i Gregor na stare lata musieli się gdzieś przeprowadzać.

- Jestem pewna, że Jackson przystanie na to.

- Na pewno potrafisz go przekonać. Masz taki miły głos. Pani Gray powiedziała, że przywiozłaś ze sobą małego chłopca?

- Doreen do pani dzwoniła?

- Wczoraj.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że wzięłam ze sobą Sama, mojego siostrzeńca?

- Naturalnie, że nie. To miejsce stworzone dla dzieci. Żałuję, że pan Baird nie ma żony. Jak pani myśli, moje dziecko, czy to może się zmienić?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Proszę mi tylko nie mówić, że to ma być jeden z warunków sprzedaży.

- Nie, nie jestem swatką. Chcę jednak, aby moja posiadłość trafiła do kogoś, kto będzie kochał ją równie mocno jak ja.

- Panna Copeland zamilkła na chwilę, po czym dodała: -Chciałabym poznać pana Jacksona Bairda. Osobiście.

- Jestem pewna, że się zgodzi.

- Chcę także poznać ciebie. Możecie spotkać się ze mną na lunchu w poniedziałek?

- Sądzę, że mój szef...

- Nie, chcę spotkać się z tobą.

Dobrze. Jeżeli od tego ma zależeć sfinalizowanie transakcji, to...

- Porozmawiam o tym z panem Bairdem Czy mogę przynieść ze sobą kontrakt?

- Co tylko zechcesz. Ale nie planuj na to popołudnie niczego innego. Lubię długie lunche.

Molly wzięła długi prysznic i dopiero po nim zeszła na śniadanie.

- Dzień dobry, jak spałeś? - Jackson najwyraźniej zdecydował się na formalny ton. Molly podjęła grę.

- Świetnie, dziękuję, a ty?

- Doskonale - skłamał. - Gdzie jest Sam?

- Zjadł śniadanie z Gregorem i poszli słuchać rechotu żab. Gregor powiedział mu, że w tej okolicy występuje dziesięć różnych gatunków i każdy wydaje inny głos.

- Fantastyczne.

- Rzeczywiście - przyznała, nakładając na talerz potrawy, choć wcale nie miała apetytu. - Dzwoniłam dzisiaj do panny Copeland.

- Widzę, że nie próżnowałaś od rana.

- Jestem w pracy.

- Naturalnie.

- Nie chcesz usłyszeć, co powiedziała? - Naląła soku pomarańczowego tak gwałtownie, że część wylała się na stół. Dlaczego zachowuje się jak nastolatka?

- Ależ chcę! - Jackson oparł się wygodnie i czekał, aż Molly zacznie mówić.

- Powiedziała, że sprzeda ci farmę, jeśli pozwolisz zostać na niej Doreen i Gregorowi i jeśli okażesz się miłą osobą.

- Miłą osobą? Cóż to znaczy? - Uniósł ze zdziwienia brwi.

- Panna Copeland nie rozwijała tego tematu. - Molly wrzuciła ramiionami. - Odniosłam wrażenie, że nie zależy jej specjalnie na pieniądzach. Wydaje mi się natomiast, że jeśli się jej nie spodobasz, nie sprzeda ci farmy. Musimy więc wywrzeć na niej korzystne wrażenie.

Jackson nie spuszczał z niej wzroku.

- Wiesz o tym, że farma jest warta znacznie więcej, niż panna Copeland za nią chce.

- Powinno cię to chyba cieszyć - odparła Molly, skupiając wzrok na szklance soku, jakby od niej zależało jej życie. Nie chciała, aby Jackson był miły. Wołała widzieć w nim twardego biznesmena, z którym będzie mogła podjąć walkę. Nie wiedzieć czemu, jego miłe zachowanie zupełnie ją rozbrajało.

W tej chwili zza okna dobiegł ich głos Sama, a po chwili chłopiec wpadł do jadalni.

- Naliczyliśmy jedenaście różnych rodzajów zabiego rehotu! Pan Gray powiedział, że ma w bibliotece nagranie, na którym wyraźniej słychać różnice. Mówi, że trzeba coś przekąsić i iść popływać. Pójdziemy, panie Baird?

Jackson popatrzył na Molly i uśmiechnął się.

To był uroczy dzień. Wypełniony Jacksonem. Molly obserwowała, jak uczył Sama pływać. Widziała, jak roześmiał się triumfalnie, gdy Sam zaczął poprawnie wykonywać jego polecenia i jak poszukał wzrokiem jej spojrzenia. Patrzył na nią z radością, a nawet z zachwytem. Zupełnie, jakby to on sam był małym chłopcem, który nieoczekiwanie opanował sztukę pływania.

Gdzie się podział oficjalny biznesmen?

Przyglądała się, jak wyciera Sama i jak zanosí sennego chłopca do domu. Obserwowała, jak pochłania przygotowany przez Doreen posiłek, słuchała, jak ją chwali i opowiada dowcipy Gregorowi...

Wszystkich owinął sobie dookoła małego palca.

Jednak musi mieć jakieś mroczne strony. Nie dorobi! się swojej reputacji bez powodu. Uważaj więc...

Ale jej serce nie słuchało rozumu. Całkowicie uległo uczuciu, które je przepęlniało. Miłości do Jacksona Bairda.

RS

rozdział siódmy

- Francis?

- Pan Baird? - Roger Francis odebrał telefon po pierwszym dzwonku i w jego głosie wyraźnie słychać było napięcie. - Jaka decyzja zapadła?

- Na razie żadna. Posiadłość jest dokładnie tym, czego szukam, ale mam się spotkać z jej właścicielką. Wygląda na to, że sprzeda mi ją tylko wtedy, jeśli zaakceptuje moją osobę i jeśli spodoba jej się agentka, pana Fair. Umówiliśmy się jutro na lunch.

- A jeśli nie spodobacie się jej?

- Będę musiał pojechać do Blue Mountain. Jak powiedziałem, wszystko zależy od panny Copeland. Sprawia wrażenie nieco ekscentrycznej, ale sądząc po jej zamożności, ma do tego prawo.

- Naturalnie. - Roger nie wydawał się specjalnie zadowolony.

- W związku z tym mam do pana pewną prośbę.

- Chciałby pan, żebym sprawdził jej koneksje?

- Nie. Chciałbym, aby sprawdził pan agentkę.

- Nie rozumiem.

- Molly Farr. - Jackson zawahał się, wiedząc, że wchodzi na grząski grunt. Przeczynał jednak, że Molly ma kłopoty finansowe i pragnął wiedzieć, jak duże.

- Chciałbym się dowiedzieć o niej kilku rzeczy. I to w miarę szybko.

- Molly?

- Michael!

- Molly, kochanie...

O co, do diabła, mu chodzi? Telefon rozdzwonił się, ledwie przekroczyła próg mieszkania. Kiedy usłyszała głos byłego narzeczonego, słuchawka omal nie wypadła jej z ręki.

- Nie wierzę, że cię słyszę. Po co dzwonisz?

- Molly, musimy porozmawiać. Coś się wydarzyło. Na to miała tylko jedną odpowiedź.

- Więc porozmawiaj sobie, z kimkolwiek chcesz, ale nie ze mną. Trzask.

- Cara?

- Jackson, najdroższy, nie spodziewałam się twojego telefonu...

- Cara, chcę opowiedzieć ci o tej posiadłości. Jest wspaniała. Dokładnie taka, jakiej szukaliśmy.

- To świetnie. - Zawahała się. - Czy coś jest nie tak?

- Dlaczego tak myślisz?

- Nie wiem. Masz jakiś dziwny głos.

- Nie zapominaj, że dzwonię z Australii.

- To chyba dlatego.

- Chciałabys przyjechać i obejrzeć ją, zanim podpiszę kontrakt? Cara?

Kolejne wahanie.

- Kochanie, jestem bardzo zajęta, a Australia jest tak daleko. Tym razem Jackson nie potrafił ukryć irytacji.

- Cóż, ja też jestem zajęty. Ale to ważna decyzja, Cara. Czy naprawdę nie możesz...

- Dobrze, dobrze. Spróbuję coś wykombinować, jeśli to takie ważne.

- Ważne.

- Roger? Mówi Michael.
- Tak?
- Nic z tego nie będzie. Nawet nie chciała ze mną rozmawiać.

RS

Rozdział ósmy

Niespodziewany telefon od Michaela natychmiast zepsuł jej dobry nastrój.

To dziwne. W przeszłości często o nim rozmyślała, analizowała jego postępowanie i szukała wytłumaczenia dla tego, co zrobił. Jednak w ciągu ostatniego weekendu nie pomyślała o nim ani razu.

Po przylocie Jackson odprowadził ich do taksówki.

- Do jutra - pożegnał się i położył palec na jej ustach w pożegnalnym geście. - Śpij smacznie.

Przez cały czas czuła na wargach ten dotyk. Dodawał jej skrzydeł. Kiedy rozległ się dzwonek u drzwi, niemal się do nich rzuciła. Niestety, to nie był Jackson.

Oczywiście, że nie on. W progu stała Angela z wypiekami na twarzy i uśmiechem na ustach.

- Widziałas to? - Pomachała jej przed oczami gazetą. - Och, a miałam takie wspaniałe plany.

- Ja... Co się stało? - Molly odsunęła się, aby przepuścić przyjaciółkę.

- Ten człowiek nie jest taki, za jakiego uchodzi - Planowałam ślub, limuzyny, miodowy miesiąc, a tu popatrz!

- Angelo, możesz mi wyjaśnić, o czym mówisz? Angela machała gazetą jak flagą, tak że Molly nic nie mogła przeczytać.

- O twoim ślubie, oczywiście. Z Jacksonem Bairdem - jęknęła Angela. - A tymczasem okazało się, że on ma jakąś Carę...

Cisza.

Nie powinno mnie to obchodzić, tłumaczyła sobie Molly. I w pewnym sensie tak było. Czowała, jakby jej umysł opuścił ciało i przeniósł się do innego wymiaru. Jakby ta rozmowa zupełnie jej nie dotyczyła.

- Mogę to zobaczyć? - spytała w końcu. Przyjaciółka popatrzyła na nią uważnie. Spodziewała się innej reakcji. To miał być żart, ale nie słyszała śmiechu.

Spoważniała.

- Strona trzecia.

I Molly przeczytała.

Artykuł dotyczył Jacksona Bairda, który spędził weekend w Nowej Południowej Walii, zwiedzając jedną z najsłynniejszych w tej okolicy posiadłości, z zamiarem jej kupna. Miała to być jego baza w Australii. Pan Baird, który do tej pory mieszkał w luksusowych apartamentach, miał osiąść tam z niejaką Cara Lyons, modelką i zdeklarowaną wielbicielką koni. W najbliższym czasie gazeta obiecywała podać kolejne wiadomości na ten temat.

- A to zdrajca - powiedziała Angela, przyglądając się z uwagą Molly.

- Nie widzę powodu, dla którego miałabyś go tak nazywać. Ma prawo mieszkać w swojej posiadłości, z kim tylko zechce.

- Ale jak mógł nam o tym nie powiedzieć!

- Bo to nas absolutnie nie dotyczy.

- Tak, ale... - Oczy Angeli zwężyły się. - Wyglądasz jakoś... inaczej. Zbliżyliście się do siebie podczas tego wyjazdu?

- W pewnym sensie tak.

- Nie mów, że cię pocałował?

- A jeśli nawet - odparła Molly, a kiedy przyjaciółka westchnęła zniecierpliwiona, uniosła brwi. - Dlaczego nie? Całował zapewne także setki innych kobiet.

- I fakt, że gdzieś tam czeka na niego ta jego Cara, zupełnie mu nie przeszkadzał?

- Najwyraźniej nie.

Ale jej przeszkadzał. Jak mógł się tak zachować?

- Nie wierzę, że cię to nie obeszło.

- Jestem profesjonalistką. Nie wiem, dlaczego robisz takie zamieszanie. Nasze relacje są czysto zawodowe i nie ma mowy o żadnym bliższym związku.

- Ale cię pocałował. Och, Molly, wiele bym dała, żeby pocałował mnie ktoś taki jak Jackson Baird.

- Przesadzasz.

- Wcale nie.

Angela powiedziała to z takim przekonaniem, że Molly popatrzyła na przyjaciółkę z uwagą.

- Coś nie tak z Guyem?

- Nic, czemu miałby zaszkodzić przelotny romans z Jacksonem Bairdem - powiedziała gorzko, a potem spytała z nadzieją w głosie: - Odwzajemniłaś pocałunek?

- Nie twoja sprawa.

- Ale czy nie byłoby wspaniale... - westchnęła Angela, po czym postanowiła zmienić taktykę. - A transakcja?

- Prawie wszystko zostało ustalone.

- Trevor o tym wie?

- Dzwoniłam do niego przed wyjazdem z Birraginbil.

- Zobaczysz go jeszcze?

- Kogo, Trevora?
- Dobrze wiesz, o kogo pytam.
- Jesteśmy umówieni jutro na lunch.
- Och, Molly...

- Z właścicielką posiadłości. A może nawet także z kimś, kto ma na imię Cara. - Molly spojrzała na fotografię zamieszczoną w gazecie. Jak mogła mierzyć się z kobietą o takim wyglądzie jak ta dziewczyna na zdjęciu?

Nie mogła. To było proste jak drut. Ale Angela nie dawała za wygraną.

- No cóż, przynajmniej poznasz przeciwnika.
- We wtorek Jackson wyjeżdża do Stanów.
- W takim razie musisz działać szybko.
- Angelo, daj spokój.
- Ale go pocałowałaś.

- Mam wrażenie, że nawet jako żonaty człowiek Jackson Baird nie przestanie całować kobiet. To naprawdę wspaniały facet.

A więc powiedziała to. Opadła na krzesło naprzeciw Angeli i rozłożyła dłonie w błagalnym geście.

- Pomocy - jęknęła.
- Pomocy?
- Wpadłam w tarapaty.
- Jakie tarapaty? - spytała ostrożnie Angela.
- Byłam głupia.
- Możesz wyrażać się jaśniej?

- Chyba zakochałam się w nim. - Molly wyznała wreszcie to, o czym nie przestawała myśleć przez ostatnie godziny. - Wiem, że to

beznadziejna sprawa. Nie mam najmniejszych szans, by go sobą zainteresować, ale nic na to nie poradzę.

- Och, Molly.

- Nie jest nawet w polowie taki rozsądny jak Guy, a poza tym należy do innego świata. On...

- Wiesz, że rozsądek to nie najzabawniejsza cecha charakteru - prze-rwała jej przygnębiona Angela. - Chyba zaczynam preferować męż-czyzn, którzy nie są zbyt rozsądni.

- Pod warunkiem, że nie są związani z kimś innym.

- Nie wiemy tego na pewno.

- Mają razem kupić farmę.

- No to co? Musimy zastawić na niego jakąś pułapkę. A w zasadzie ty. Jutro podczas lunchu.

- Świetny pomysł. Co proponujesz? Mam go zwalić z nóg?

- Nie może jej zbyt mocno kochać, skoro całował ciebie - zauważyła bez przekonania Angela.

- O, ale wystarczająco, aby kupić tej kobiecie farmę za trzy miliony dolarów. Poza tym nie zapominaj, że ja nie jestem całkiem wolna. Mam Sama.

- Ale kochasz Jacksona, tak?

Na to pytanie mogła dać tylko jedną odpowiedź.

- Tak.

- W takim razie masz większe kłopoty niż ja. - Angela popatrzyła na swój pierścionek z diamentem, zdjęła go z palca i odłożyła na stół. - Teraz obie mamy się nad czym zastanawiać. Guy to najnudniejszy mężczyzna na świecie i nie założę tego pierścionka na palec, dopóki mój narzeczony nie zrobi czegoś niezwykłego.

- Na przykład czego?

- Na przykład nie pocałuje mnie tak, jakby od tego zależało jego życie. Albo nie wepnie spinki zupełnie nie pasującej do krawata. Może jeszcze zawiązać sznurówki na podwójną kokardkę albo założyć czarne buty do brązowych spodni. Niech zainwestuje w coś bez sensu albo niech -sprzeda samochód i zabierze mnie na Wyspy Bahama. Nie wiem. Niech zrobi cokolwiek spontanicznie! Jest taki nieprzyzwoicie przewidywalny!

- Z pewnością niczego takiego się nie doczekasz - skwitowała ponuro Molly i przyjaciółki popatrzyły na siebie z poczuciem beznadziejności.

- Potrzebujemy czegoś dla naprawdę zdesperowanych ludzi - oznajmiła w końcu Angela. Nagle wstała. - Idę do supermarketu kupić likier, lody i ogromną paczkę herbatników. To nam pozwoli ustawić wszystkich mężczyzn naszego życia na właściwym miejscu.

Molly otworzyła jedno oko i czym prędzej je zamknęła. Niemożliwe. Chyba nadal śni na jawie.

- Molly? - rozległ się głos Sama. Chłopiec pochylił się nad nią i próbował odchylić jedną powiekę. - Jesteś tam?

- Nie - jęknęła, a on zachichotał.

- Jesteś, jesteś. Angela spała na kanapce w salonie. Też mi powiedziała, że jej nie ma, ale była. Nie pozmywałyście po sobie naczyń. Zostawiłyście puste opakowania po lodach. Wszystko zjadłyście. Dla mnie nic nie zostało. Na szczęście nie pożarłyście wszystkich herbatników, więc zjadłem siedem na śniadanie. I zaraz się spóźnimy.

Molly ponownie otworzyła oko, następnie spojrzała na zegarek. Późno! Sam powinien jechać do szkoły, a ona do pracy. Cóż za brak odpowiedzialności z jej strony!

Jęknęła i popatrzyła z uwagą na siostrzeńca.

- Sam, myślisz, że zostaniesz neurochirurgiem, nawet gdybym ogłosiła dzisiaj dzień wolny od zajęć szkolnych?

Sam zastanowił się przez chwilę, nie przestając się uśmiechać. To zadziwiające, pomyślała. Nie dalej jak w piątek miał minę etatowego garbarza, a teraz nie przestawał się uśmiechać.

- A dlaczego? - spytał, a Molly gorączkowo szukała w głowie jakiegoś sensownego wytłumaczenia.

- Bo dziś jest Międzynarodowy Dzień Żaby - powiedziała ze sztuczną powagą.

- Jesteś niemądra.

- To prawda. Chociaż udało mi się sfinalizować transakcję mojego życia. Przepraszam, Sam. Od dawna nie śpisz?

- Pan Baird mnie obudził.

- Pan Baird?

- Zadzwoił do drzwi i ja mu otworzyłem. Jest tu i przyniósł ze sobą dom dla żab. W częściach. Musimy go złożyć. Pan Baird siedzi w salonie. Tam, gdzie spała Angela, tylko ona uciekła do mojej sypialni. Myślisz, że pan Baird udzieli mi jeszcze jednej lekcji pływania?

- Wątpię. - Molly miała nieodpartą ochotę dołączyć do Angeli. - Pan Baird nadal tu jest?

- Naturalnie. Właśnie czytaliśmy instrukcję od domku. Musimy zdecydować, gdzie go ustawić, bo potem nie da się go już przenieść. Dlatego kazał mi cię obudzić, niezależnie od tego, czy jesteś wyspana, czy nie.

Molly popatrzyła na chłopca, jakby wyrosły mu rogi.

- Powiedz mu, żeby sobie poszedł.

- Sama mi to powiedz. - Głos, który dobiegł od drzwi, był niski, miękki i doskonale znajomy. W progu stał niezwykle z siebie zadowolony Jackson. - Chociaż nie wiem, dlaczego miałbym siad iść.

- Co ty tutaj robisz?

- Cóż za miłe powitanie. Zwłaszcza gościa, który przyniósł ze sobą prezent.

- Jaki prezent?

- Mówiłem ci już - wtrącił zniecierpliwiony Sam. - Przyniósł domek dla żab. Z ogromną sadzawką. Ale nie napełnimy jej wodą. Są też skałki, wodospady i inne atrakcje. Tylko na razie nie możemy złożyć podstawy. Guy mówi, że instrukcja jest napisana w tak zawiły sposób, jakby dotyczyła budowy gotyckiej budowy.

- Guy? - A co tu robił narzeczony Angeli?

- Cześć. - Zza pleców Jacksona wysunęła się głowa Guya. Molly z jękiem opadła na poduszkę.

- Guy... Czy Angela wie, że tu jesteś?

- Tak, ale zamknęła się w sypialni Sama - odparł Guy z lekkim zdziwieniem w głosie. - Wściekła się na mnie, bo nie chciałem założyć białych butów. Rozumiesz? Białych butów! Krzyczała na mnie jak oszalała. Szukałem jej przez cały weekend. A teraz nie chce ze mną rozmawiać. I dlaczego jej zaręczynowy pierścionek leży na twoim stole?

Tego było zbyt dużo jak dla Molly.

- Nie wiem. Idź sobie. Wszyscy sobie idźcie. - Ścisnęła rozpaczliwie prześcieradło, myśląc gorączkowo, gdzie też mogła położyć szlafrok.

- Mamy za sobą miłą noc, nieprawdaż? - spytał Jackson. Opierał się o framugę, a ręce złożył na piersiach. Skądś już znała tę pozę.
- Ciebie też to dotyczy. Wynoś się z mojej sypialni!

RS

- Chyba nie jesteśmy tu mile widziani, Sam. - Jackson oparł dłoń na ramieniu chłopca, nie przestając się uśmiechać. Powiedz nam tylko, gdzie mamy postawić domek dla żab.

- Nie chcę żadnego domu dla żab! - krzyknęła niemal z furią.

- Molly! - Sam był zgorszony jej zachowaniem.

- Oczywiście, że chcesz - przekonywał ją Jackson. - Nie zapominaj, że masz zajętą łazienkę. Ponadto żaba mogłaby wskoczyć do toalety. Pomyślałaś o tym?

Na litość boską!

- Gdyby dostała się do kanalizacji, mogłaby spowodować ogólną awarię.

Niech on przestanie się uśmiechać! Zaciśnęła zęby, by też się nie roześmiać.

- Idźcie sobie, albo zacznę krzyczeć.

- Dlaczego miałybyś krzyczeć? - spytał z zainteresowaniem Sam, a Molly jęknęła.

Jackson wziął chłopca za rękę i wyciągnął z sypialni.

- Zaczekamy w salonie, aż będziesz gotowa do przyjmowania gości - powiedział, a uśmiech nie schodził z jego twarzy. - Chodź, Sam. Jeśli nie chcesz zobaczyć, jak twoja ciotka dostaje ataku szału, to lepiej na chwilę zniknijmy z jej pola widzenia. Niech do siebie dojdzie.

- Angie? Cisza.

- Angelo! - Molly potrzebowała wsparcia, jeśli miała wejść do salonu. To Angela wymyśliła wczorajszą imprezę, niech więc teraz pomoże jej stawić czoło konsekwencjom. - Angie! - Nacisnęła kłamkę, ale sypialnia Sama była zamknięta. Choć w domu panowała cisza, wiedziała,

że wszyscy nasłuchują w napięciu. - Otwieraj. Musisz mnie wesprzeć. Żadnej odpowiedzi.

Angela zamknęła pokój na haczyk i smacznie spała. Molly wiedziała, że można otworzyć haczyk z zewnątrz jakimś wąskim narzędziem, ale wołałaby, żeby przyjaciółka sama to zrobiła.

Jednak gdy jej prośby wciąż pozostawały bez odpowiedzi, ostrożnie podważyła haczyk pilniczkiem do paznokci. Niestety, w pokoju nie było nikogo. Tylko puste łóżko i szeroko otwarte okno, w którym powiewały zasłony. Molly wyjrzała na zewnątrz i zdołała dostrzec, jak przyjaciółka przebiega przez ulicę.

- Nie rób mi tego! - krzyknęła za nią, ale Angela wskoczyła właśnie do nadjeżdżającej taksówki i nie oglądając się za siebie, odjechała.

Pomocy! '

Nie ma rady. Musi wejść tam sama.

Było jej znacznie łatwiej skoncentrować się na Guyu, niż myśleć o Jacksonie. Ten ostatni studiował z Samem instrukcję budowy domku, podczas gdy Guy wpatrywał się beznamiętnym wzrokiem w leżący na stoliku pierścionek z brylantem.

- Czy Angie jest w sypialni?

- Uciekła.

Westchnął, a jego ramiona opadły, jakby przygniótł je nagły ciężar. Musi być bardzo nudnym księgowym, pomyślała Molly, ale mimo to zrobiło się jej go żal. Wyglądał w tej chwili tak, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg.

- Może powinienes wyruszyć w pościg - zaproponowała.

- Nie wpuści mnie do mieszkania. Dobijałem się przez cały weekend, ale nie otwierała drzwi.

Molly skinęła głową. W jej głowie rodził się już pewien pomysł.

- Posłuchaj, Guy, tu są klucze Angie. - Wskazała leżącą na stoliku torebkę przyjaciółki. - Może byś z nich skorzystał? Poza tym nie będzie miała pieniędzy, by zapłacić za taksówkę. Masz szansę się wykazać.

Guy zastanawiał się.

- Nie rozumiem - odparł po chwili. Najwyraźniej nie potrafił działać w sposób niezaplanowany.

- A co tu jest do rozumienia? Masz szansę zostać bohaterem, więc wykorzystaj ją.

- Damy sobie radę bez ciebie, stary - odezwał się nagle Jackson. - Angie nie ma ani kluczy, ani pieniędzy. My jakoś się uporamy z tym domkiem.

Cisza. Wciąż niezdecydowany Guy spoglądał to na pierścionek, to na rozłożone elementy domku dla żab.

- Naprawdę?

- Z całą pewnością. Guy ruszył do drzwi.

- Guy? - Zatrzymała go Molly. - Jeśli mogę dać ci jakąś radę, to ogranicz liczbę świadków na ślubie, kup te białe buty i zamów po drodze kwiaty.

- Bukiet dla Angie?

- Nie, Guy. Nie bukiet. Cały kosz, a jeszcze lepiej całą kwiaciarnię.

- Ale po co? Molly westchnęła.

- Guy, jest chłodno. Angie zostawiła tu żakiet, więc będzie siedziała przed domem, zmarznie i zachoruje. Potrzebuje bohatera. A dokładnie wspaniałego Guya, który zjawi się na jej progu z olbrzymim naręczem kwiatów.

- Czy to nie zbędny wydatek? - spytał ostrożnie Guy, a Molly poczuła nieodpartą ochotę, by cisnąć w niego deską od domku dla żab.

- Skoro tak myślisz, to nie zdziw się, jeśli nazywać cię będą starym nudziarzem. Zobaczysz, dokąd cię to zaprowadzi. Posłuchaj mojej rady.
- Naprawdę myślisz, że to podziała?
- Naprawdę.
- W takim razie idę - powiedział z ciężkim westchnieniem i ruszył do drzwi..
- Świetnie. I jeszcze jedno.
- Tak?
- Nie mów jej, że to był mój pomysł. Wszyscy w tym pokoju słyszeli, że sam to wymyśliłeś.
- Dobrze.
- Ruszaj, Jamesie Bondzie, ratować niewinną ofiarę.
- Jeszcze słówko, panie Bond. - Jackson wstał i uśmiechnął się do Guya. - Ten młody człowiek ma na sobie mundurek, a to zapewne oznacza, że powinien być teraz w szkole, mam rację?
- Tak, obiecałem Molly, że będę bardzo ciężko pracował, żeby zostać neurochirurgiem, ale ona powiedziała, że dziś jest Międzynarodowy Dzień Żaby.
- Rozumiem. Na to konto miałeś wolne przedpołudnie. Jesteś spa-kowany?
- Tak - przyznał niechętnie Sam. - Ale nie skończyliśmy jeszcze składać...
- Ja to zrobię. Guy, mógłbyś przy okazji podwieźć Sama do szkoły?
- Ale...
- Molly powiedziała ci, jak odzyskać Angie - zauważył Jackson. - Jesteś jej to winien.
- W porządku - Guy zgodził się z westchnieniem. Nudny czy nie, w gruncie rzeczy był to miły facet. - Jeśli Sam nie ma nic przeciwko temu.

Jackson rozpromienił się i szeroko otworzył drzwi.

- W takim razie, w drogę. Jedź ostrożnie, a ty, Sam, ucz się pilnie, bo na medycynę trudno się dostać.

Kiedy wyszli, zamknął drzwi i odwrócił się w stronę Molly.

RS

Rozdział dziewiąty

Cisza.

Cięzka, przygniatająca cisza. Niech rozstąpi się podłoga i niech mnie pochłonie, błagała w duchu Molly. Nie mogę zostać z nim sam na sam.

- Dziękuję za domek dla żab - wydusiła wreszcie z siebie.

- Nie musisz zostawać, żeby go zbudować.

- Nie zapominaj, że jesteśmy umówieni na wspólny lunch. Domek tak czy inaczej musi poczekać.

- Jestem pewna, że dam sobie radę sama. Dziękuję, że go przyniosłeś. Sam na pewno to doceni.

- A ty nie?

- Ja również. Zwłaszcza jeśli rozłożysz go tu, gdzie stoi, czyli na przeciwko telewizora. W końcu to oczywiste, że wolę oglądać żaby, zamiast głupie filmy.

- Wiedziałem, że ci się spodoba - ucieszył się Jackson.

- Wyglądasz na dziewczynę, która lubi właśnie takie rzeczy.

- Nie masz pojęcia, jaka jestem.

- I tu się mylisz - powiedział, nagle poważniejąc. - Już cię rozszefowałem.

- Nawet nie chcę tego słuchać.

Ale Jackson ciągnął niezrażony, jakby mówił do siebie.

- Jesteś dziewczyną, która wszystko rzuca, gdy jej siostrzeniec traci rodziców, i sprowadza się do znieprawionego miasta. Podejmuje pracę u niezbyt sympatycznego kuzyna i rozpoczyna życie, które...

- Wszystko dla siostrzeńca, którym nawet nie potrafię się dobrze zająć. Właśnie zasnęłam, zamiast wyprawić go do szkoły. A wszystko

dlatego, że za dużo wczoraj wypiałam. Panie z opieki społecznej z miejsca pozbawiłyby mnie praw opiekuńczych.

- Przestań się obwiniać. Nie trzeba być Einsteinem, by domyślić się, że miałaś ku temu ważny powód. Angela przyjechała i oznajmiła, że zerwała zaręczyny, więc dotrzymywałaś jej towarzystwa. - Uśmiechnął się. - Zapewne zmieszałyście z błotem cały męski ród. - Popatrzył na nią uważnie, dostrzegając być może znacznie więcej, niżby sobie życzyła. - A teraz zostawiła cię i musisz sama wypić piwo, jakiego razem nawarzyłyście. Jej narzeczony pojechał, by ogołocić miejskie kwaciarnie i...

- Myślisz, że to zrobi?

- Jeśli nie, będzie skończonym głupcem. Dałaś mu przepis na talerzu, co było bardzo wspaniałomyślne, zważywszy na zachowanie Angeli. Szkoda tylko, że Guy nie wziął ze sobą kluczy do jej mieszkania. - Wskazał głową stolik.

- Klucze!, Wiedziałaś, że je zostawił!

- Nie mogłem pozwolić, by uszło jej to całkiem na sucho... Znów zapadła cisza. Molly powinna poczuć złość, ale nic z tego. Jego uśmiech zupełnie ją rozstrajał. Miękkła pod jego wpływem jak wosk...

- To niemądre - rzuciła. - Nie jestem zła na Angelę. To ty jesteś wstrętny.

- Ja? - Jackson uniósł ze zdziwieniem brew. - Jak to? Zabrałem was na farmę, dzięki mnie nie straciłaś posady, kupiłem Samowi domek dla żab...

Zrobiła głęboki wdech, po czym z trudem, prawie krzyżąc, wyrzuciła z siebie:

- Pocałowałaś mnie.

Jej słowa zawisły między nimi jak chmura.

- Pocałowałem cię?
- Tak.
- Dlatego jestem wstrętny?
- Tak, bo jesteś związany z inną kobietą.

Jackson zamyślił się. No tak, Molly z pewnością czytała gazety.

Czy powinien zaprzeczyć? Instykt podpowiadał mu, by tak zrobić, ale z drugiej strony... Czyż oboje z Carą nie obiecali sobie, że nigdy z nikim się nie zwiążą? Zatem może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli pozwoli, by Molly żyła w przekonaniu, że on ma inną kobietę. To będzie najlepsze zabezpieczenie przed tym, co wydawało się już nieuchronne.

- Masz na myśli Carę?
- A kogóż innego? Czyżby były jeszcze jakieś inne kobiety w twoim życiu?
- Zarzucasz mi niewierność?

No tak, najwyraźniej w kwestii moralności różnili się diametralnie. Jackson uważał, że nie zrobił nic nagannego. Po prostu Molly była kobietą i to wystarczyło, by ją pocałował. Proste jak drut.

- Przecież nie ma mowy o żadnym związku między nami.
- Nie ma.
- Wiec gdzie tkwi problem?
- Nigdzie.
- Dlaczego zatem się wściekasz?
- Powiedzmy, że żal mi Cary i to wszystko.

Ponownie cisza. Przeciągająca się w nieskończoność. Wreszcie pytanie:

- Idziesz na lunch w tym? - Jackson wskazał głową szlafrok, który miała na sobie.

- Nie!

- W takim razie może przebierzesz się w coś innego, a ja w tym czasie dokończę domek?

- Nie chcę...

- Iść ze mną na lunch? Domyślam się ~ powiedział grzecznie i niezwykle oficjalnie. - Ale nie mamy wyboru. Proponuję więc, żebyś dała spokój osobistym urazom i wróciła do pracy. I to szybko.

Po tych słowach zajął się domkiem, zostawiając Molly samą sobie.

Wyszła z pokoju, żeby się ubrać. Jackson jednak nie potrafił się skoncentrować. Jego myśli krążyły natrętnie wokół jednego tematu.

Czy całując Molly, coś między nimi rozpoczął? - Dotąd nie zastanawiał się nad tym. Co takiego się stało?

Niewiele. Molly jest piękną kobietą i nic dziwnego, że ją pocałował. Spędzili wspólnie wspaniałą dzień i ten pocałunek był jego naturalnym zwieńczeniem. Nic więcej.

Czyżby?

Do diabła, przy niej czuł się...

Nigdy dotąd nie czuł się tak w obecności żadnej-kobiety. Wiele z nich całował, ale nigdy nie doświadczył przy tym czegoś podobnego.

Czego?

Poczucia odpowiedzialności za drugą osobę. Świadomości, że chciałby stać obok niej, kiedy będzie patrzyła, jak te szalone żaby plu-skąją się w sadzawce w swoim nowym domku.

I tego, że pragnie ponownie ją pocałować...

Jednak trwały związek nie wchodził w grę. Liczy się tylko Cara. Naturalnie, to, co łączyło go z przyrodnią siostrą, miało zupełnie inny charakter. Poza tym ona doskonale rozumiała, dlaczego unikał jakiegokolwiek zaangażowania i bronił się przed miłością. Ale Cara była teraz w

Szwajcarii i żyła własnym życiem. Nie chciała, żeby się do mego mieszał i odgrywał rolę troskliwego brata...

Jednak jeśli ktoś zechciałby skrzywdzić Molly...

Na samą myśl dłonie zaciskały mu się w pięści. Gdyby ktoś tknął ją choćby palcem... zranił ją...

Nie, nie chodzi tylko o to.

To, co czuł, nie było wyłącznie odpowiedzialnością. Sama myśl, że ktoś... jakiś mężczyzna... mógłby patrzeć na nią pożądliwie, budziła w nim sprzeciw. Ponieważ Molly była...

Zaraz, dokąd to prowadzą go własne myśli?

Zaklął, nie mogąc dopasować drewnianych elementów.

Skończ to wreszcie i wynoś się stąd, powiedział sobie. Musisz przewietrzyć głowę, a przebywanie w pobliżu tej niepokojącej kobiety...

Przecież chcesz być obok niej, mówił inny głos.

Nie chcę.

Czuł się zagubiony. Nie był dobrym kłamcą. Nie potrafił kłamać nawet przed sobą.

A Molly?

Wyjęła najbardziej ascetyczny strój, jaki miała. Czerń, czerń i jeszcze raz czerń. I ani śladu makijażu.

Co ona robi? Ubrała się i popatrzyła w lustro.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że boisz się Jacksona Bairda -powiedziała do swojego odbicia.

Skinęła głową i skrzywiła twarz w uśmiechu.

- I ten ktoś miałby całkowitą rację.

Niestety, Jacksonowi nie udało się zmontować domku dla żab na czas.

- Będę potrzebował innego śrubokręta - stwierdził po godzinie prób.
- Ta instrukcja wygląda, jakby została napisana w obcym języku. - Popatrzył na czarne ubranie Molly i zmarszczył z niezadowoleniem czoło.
- Miałem nadzieję, że ktoś pomoże mi złożyć to do kupy, ale najwyraźniej na ciebie nie mogę polegać. Ubrałaś się, jakbyś szła na pogrzeb. Nawet grabarze wyglądają weselej niż ty.

Molly chrząknęła.

- To biznesowe spotkanie.
- Skoro już się wyszykowałeś, chyba mogłabyś mi pomóc ustawić domek na nóżkach...
- Jeszcze ich nawet nie złożyłeś. Poza tym, potrzebuję czasu, żeby zastanowić się, gdzie umieścić tę budowlę. Nie może przecież stać przed telewizorem.

- A może przed barkiem. Czy to lepsza lokalizacja?

Molly zdołała uśmiechnąć się lekko. Po wczorajszym wieczorze bolała ją głowa, czuła się zmęczona i senna. Najchętniej zapomniałaby o barku i jego zawartości.

- Jeśli Angela zerwie z kolejnym narzeczoną, będę go znowu potrzebować.

- Najwyraźniej panna Farr nie ma najmocniejszej głowy, prawda?

- Nie piłam nic od czasu śmierci mojej siostry - powiedziała i zaraz pożałowała swych słów. W oczach Jacksona dostrzegła tyle współczucia, że poczuła, jak pod powiekami zbierają się jej łzy. Nie potrzebowała jego litości.

Niczego od niego nie potrzebowała.

- Nie pomyślałaś o tym, żeby zmienić mieszkanie? Na takie, które byłoby bardziej twoje i Sama niż Sama i jego rodziców.

Zastanowiła się nad tym, co powiedział.

- Domek dla żab będzie nasz wspólny.

- Nie. Wszystko w tym domu - meble, fotografie, pamiątki, przypomina mu o rodzicach. Niewiele tu Molly Farr.

- To dom Sama.

- Ale i twój.

- Nie chcę, żeby Sam zapomniał o rodzicach. - Przygryzła wargę. - I tak czas zatrze w jego pamięci wspomnienia o nich.

- To naturalna kolej rzeczy - powiedział miękko. Podeszedł do półki, na której stały sportowe trofea. Dyplomy i puchary za zwycięstwa odniesione w zawodach golfa, żeglarskim, szachach. - To osiągnięcia całej rodziny, a gdzie twoje?

- Ja się nie Uczę.

- Ależ tak. - Zmarszczył brwi. - Dla Sama jesteś kimś bardzo ważnym. Na pewno jak byłaś dzieckiem, brałaś udział w jakichś zawodach.

- W niewielu.

- Ujeżdżanie krów?

To wywołało na ustach Molly krzywy uśmiech.

- Chyba nie.

- W takim razie, w jakich?

- W żadnych. - Popatrzyła mu w oczy, wytrzymując jego wzrok. - Jeszcze trochę, a spóźnimy się na lunch.

- Mamy dużo czasu. O co chodzi?

- Daj mi spokój.

- Musisz mieć jakieś wspomnienia z dzieciństwa. Jakieś osiągnięcia, coś, z czego jesteś dumna.

Westchnęła i zaczęła się zastanawiać.

- Chyba węzły.

- Węzły? - Jackson nie krył zaskoczenia.

- Należałam do szkolnej drużyny skautów. Pierwsza sprawność, jaką zdobyłam, to wiązanie żeglarskich węzłów -wyznała cicho, pewna, że Jacksona nie może to zainteresować.

Myliła się. Był zafascynowany. Molly w drużynie skautów - jakie to ekscytujące!

- I co było dalej?

- Nie chciałbyś wiedzieć.

- Spróbuj się przekonać.

Zawahała się i wzruszyła ramionami. Dlaczego nie? To było śmieszne, a ten mężczyzna był klientem. W jej interesie leżało, by miał dobry humor.

- Poczekaj.

Zajrzała do szafy i chwilę w niej poszperała. Skoro naprawdę go to interesowało... Wyjęła kartonowe pudło i otworzyła je.

Oto jej węzły.

Każdy oprawiony w oddzielną ramkę. Wiazała je z nabożeństwem, uczuciem i coraz większą wprawą. Węzły żeglarskie, farmerskie, użytkowe i ozdobne. Potrafiła związać dwie liny chyba na wszystkie możliwe sposoby. Każdy z węzłów był opatrzony kartką, na której widniała jego nazwa i przeznaczenie. Zaczęła je wiązać, gdy miała dziewięć lat, a ostatni powstał dwa tygodnie przed śmiercią siostry. Były częścią jej życia.

Podawała Jacksonowi pudło. Miała uczucie, jakby obdarzała go częścią samej siebie. Wziął pudło do rąk i w milczeniu zaczął przeglądać jego zawartość.

- Są niesamowite - powiedział w końcu, a Molly zarumieniła się.
- Tak, ale należą już do przeszłości.
- Do twojej przeszłości. Dlatego Sam powinien je zobaczyć. - Ostrożnie wziął do ręki jedną z ramek i postawił na półce z trofeami sportowymi. - Powinny gdzieś wisieć. Musisz znaleźć dla nich osobną ścianę.

Potrząsnęła głową.

- Nie chcę wprowadzać takich zmian w życie Sama.
- Jego życie już się zmieniło.
- Dlatego nie chcę robić w nim jeszcze więcej zamieszania Patrzył na nią przez chwilę, a potem kąciki jego ust uniosły się lekko w drwiącym uśmiechu.
- Ależ z ciebie niesamowita kobieta.
- Podobnie jak z ciebie niesamowity mężczyzna. A teraz powinniśmy już iść na lunch.
- Rzeczywiście - powiedział wolno, jakby jego umysł był zajęty zupełnie czymś innym.

Hannah Copeland była szczupłą, dziarską staruszką. Choć stawy wykrzywił jej reumatyzm, oczy błyszczały, zdradzając witalność i inteligencję. Czekwała na nich w jednej z najbardziej ekskluzywnych restauracji Sydney, traktując obsługę, jakby była właścicielką tego lokalu.

- Zarezerwowałam mój ulubiony stolik - oznajmiła na powitanie. - Przychodzę tu co poniedziałek. To mój osobisty wkład w polepszenie sytuacji ekonomicznej kraju.

- Bardzo wspinałomyślnie z pani strony - stwierdziła Molly.

- Też tak myślę, moja droga. - Spojrzała z zaciekawieniem na Jacksona. - A pan? Jest pan bogaty jak Krezus. Jak pan wspiera społeczny budżet?

- Kupuję farmy - odparł Jackson, a pomarszczoną twarz panny Copeland rozjaśnił uśmiech.

- Bardzo dobrze - powiedziała, a jej oczy zwęziły się. - Uważam jednak, że pieniądze powinny zarabiać. Czy będzie pan prowadził moją farmę w odpowiedni sposób? Mam nadzieję, że nie kupuje jej pan tylko po to, by uciec od podatków?

- To byłby niezwykle kosztowny sposób - odparł Jackson, pomagając starszej pani usiąść.

- W tych czasach nigdy nic nie wiadomo. - Staruszka usadowiła się wygodnie i przyjrzała się uważnie swoim gościom, a zwłaszcza Molly.

- Chyba nie nosisz żałoby, moja droga?

- Nie, ona załatwia interesy - sucho odpowiedział za Molly Jackson.

- Nie masz zwyczaju łączyć interesów z przyjemnością? ~ Nigdy. - Molly wzięła do ręki menu, spojrzała na ceny

i otworzyła ze zdumienia oczy. Zdecydowanie to miejsce było poza jej zasięgiem.

- Miło spędziliście czas na farmie? - spytała Hannah. Molly uśmiechnęła się. Przynajmniej to pytanie było łatwe.

- Bardzo miło. Dziękujemy.

- Doreen powiedziała mi, że wasza trójka postawiła cały dom na nogi. Ty, Jackson i mały chłopiec.

- Poznaliśmy się dopiero w piątek

- I polubiliście się?

- Polubiliśmy - odpowiedział za oboje Jackson. Molly zeszywniała. Chciała zaprotestować, ale zmieniła zdanie. Na czas zawierania transakcji mogą się nawet lubić.

Złożyli zamówienie. Molly nie umiała uwolnić się od myśli, ile normalnych posiłków mogłaby zjeść za tę cenę. Jak to jedzenie przejdzie jej przez gardło?

- Jesteś zaręczony? - spytała nagle Hannah Jacksona. Ten zmarszczył brwi, a Molly natychmiast zapomniała o jedzeniu.

- Skąd taka myśl?

- Czytam gazety, mój drogi. Opowiedz mi o swojej Carze.

- To nie jest moja Cara.

- Nie jesteście zaręczeni?

- Nie - powiedział, a Molly z wrażenia upuściła nóż.

- Żartujesz - wykrztusiła.

Jackson uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Wcale nie.

- Myślałam...

- Cara i ja jesteśmy zadowoleni z takiego stanu rzeczy.

- Nie pochwalam tego rodzaju związków - wycodziła Hannah, nie kryjąc dezaprobaty. - Lubię małżeństwa.

- W moim świecie małżeństwa rzadko okazują się trwałe.

- Za to obietnice trwają. Obiecywałaś coś tej Carze?

Jackson utkwiał wzrok w talerzu, jakby bez reszty pochłonęło go wyborne jedzenie - usmażone w kokosowym maśle krewetki, podane z sosem chilli i limonką. Smakowały, jakby przed chwilą wyłowiono je z morza. Ale Hannah nie dawała za wygraną. Patrzyła wyczekująco.

- Wydaje mi się, że moje prywatne życie nie ma tu nic do rzeczy - powiedział w końcu.

- Chcę, aby moja farma dostała się w dobre ręce.

- To zrozumiałe.

- Nie muszę jej sprzedawać.

- To także rozumiem.

Nieźle. Dobrze, że nie ma tu Trevora. Z pewnością dostałby zawału serca.

- Panno Copeland ~ wtrąciła Molly ostrożnie, czując się, jakby stąpała po polu minowym. - Wspominała pani o dwóch dodatkowych warunkach.

- Doprawdy? - Starsza pani włożyła do ust smakowitą krewetkę. - W takim razie zmieniałam zdanie. Nie podpiszę umowy dziś po południu.

- Mogę spytać dlaczego? - spytał Jackson uprzedzająco grzecznym tonem.

- Chcę poznać Carę.

- To ja kupuję posiadłość, nie Cara.

- Ale ona ma w niej zamieszkać, czyż nie?

- Kiedyś zapewne tak.

- Przeczytałam, że lubi konie. A moje konie również mają zostać sprzedane, więc to chyba oczywiste, że chcę wiedzieć, w jakie ręce się dostaną.

- Naturalnie - zgodził się Jackson. - Tylko że ja wyjeżdżam i wrócę do kraju dopiero za trzy tygodnie.

- Przywiezie pan ze sobą Carę?

- Jeśli mi się uda.

- Byłoby dobrze. Te nowoczesne związki... - Starsza pani popatrzyła na Molly niezwykle przenikliwie. - Jest pani zaręczona? Albo zameężna?

- Nie...
- I nie pozostaje pani w jakimś wyzwolonym związku?
- Nie.
- Ale ma pani siostrzeńca. Doreen mi o nim opowiadała.
- Panna Copeland zamilkła na chwilę, po czym nastąpił ciąg dalszy: - Będzie pani potrzebowała mężczyzny. A chłopiec ojca.
- Molly uśmiechnęła się leciutko.
- Damy sobie jakiś radę sami. Mężczyźni są niemożliwi.
- Jej uśmiech poszerzył się.
- To prawda - odparła Hannah, ale ona, w przeciwieństwie do Molly, była śmiertelnie poważna. Nadal patrzyła na dziewczynę z uwagą. - Nigdy nie wyszłam za mąż. Nie spotkałam nikogo, kto sprawiłby, że serce próbowałoby wyskoczyć mi z piersi. Pani miała to szczęście?
- Ja...? Chyba nie.
- To kłamstwo. - Hannah nie przebierała w słowach. - Widzę to w pani oczach. W pani twarzy można czytać jak w książce.
- Naprawdę?
- Oczywiście. Jakiś mężczyzna zrobił pani krzywdę. Mam rację?
- Nie wiem, dlaczego rozmawiamy o mnie. To nie ja kupuję farmę.
- Nie powinnam wtykać nosa w nie swoje sprawy, tak? Kiedy dożyjesz mojego wieku i nie będziesz miała rodziny, o którą się trzeba troszczyć, zaczniesz żyć sprawami innych, zapewniam cię, moje dziecko. Masz dobre serce. - Pochyliła się w jej stronę. - Ten mężczyzna nie ma z tym nic wspólnego? Czy tak?
- Nie! - wykrzyknęła Molly, a głowy innych gości zwróciły się w ich stronę. Zarumieniła się. - Moglibyśmy wrócić do interesów?
- Nie - oznajmiła radośnie Hannah. - Spotkaliśmy się po to, bym mogła was lepiej poznać.

- Żeby lepiej poznać Jacksona - poprawiła ją Molly.
- Być może - westchnęła Hannah. - Jeszcze się nie zdecydowałam.

- Straciłeś ochotę na kupno posiadłości?

Po głównym daniu Hannah wyszła na chwilę do toalety, zostawiając ich samych. Ku zdumieniu Molly Jackson bez większych oporów odpowiadał na pytania starszej pani. Opowiedział jej o swojej pracy, niepostrzeżenie kierując temat rozmowy na osobę rozmówczyni. Hannah nie kryła tego, jak bardzo kocha swoją farmę.

- Wręcz przeciwnie. Im więcej o niej wiem, tym bardziej jej pragnę.
- Mam wrażenie, że Doreen i Gregor nie będą jedynymi osobami, które pozostaną na farmie.

- Myślisz, że Hannah zechce tam przyjeżdżać?

- Jeśli dasz jej do zrozumienia, że nie masz nic przeciwko temu, na pewno.

Jackson zamyślił się. Czyżby zastanawiał się nad tym, jak przyjmie to Cara? Kto wie? Z jego twarzy nic nie można było wyczytać.

Nagle Molly zadrżała. Zobaczył to i od razu się zaniepokoił.

- Zimno ci?

- Nie - zaprzeczyła, wznosząc ramionami. - Przez chwilę poczułam się jakoś nieprzyjemnie.

- Coś cię martwi?

- Nie. - Jego troskliwość sprawiła, że zadrżała ponownie. Było jej zimno, czuła się samotna, opuszczona i smutna. I to bez wyraźnego powodu.

Czyż nie wyrzekła się mężczyzn na zawsze? Dlaczego więc ten facet działał na nią w ten sposób?

- Molly... - Jackson wyciągnął rękę przez stół w geście, który uznała za próbę pocieszenia. Powinna podać mu dłoń.

Nie mogła. Siedziała nieruchomo. Jackson zajął jej w oczy. W jego spojrzeniu zobaczyła coś, czego nie chciała przyjąć do wiadomości. Powoli cofnął rękę.

- Dziękuję, ale nie - powiedziała, a on nie wiedział, do czego to odnieść. Albo nie chciał wiedzieć.

Pograżył się całkowicie. Nawet nie zauważył, kiedy stracił grunt pod nogami.

Napięcie, jakie między nimi zapanowało, przerwał nieoczekiwanie czyjś okrzyk.

- Molly!

Odwróciła się i zobaczyła wracającą do stolika Hannah, ale to nie ona krzyknęła. W drzwiach restauracji stała Angela i machała w ich kierunku.

Nadal była ubrana w tę samą minispódniczkę co wczoraj, z tą różnicą, że teraz jej plecy okrywała marynarka Guya. Wyglądała, jakby wyszła ze sklepu z używaną odzieżą. W dodatku jej fryzura pozostawiała wiele do życzenia.

Wielkie nieba...

Ta transakcja nigdy nie dojdzie do skutku, pomyślała Molly z rozpaczą i zamknęła oczy w nadziei, że gdy je otworzy, Angela zniknie. Niestety. Przyjaciółka zbliżała się do stolika, wykrzykując na całą restaurację:

- Molly, nigdy nie zgadniesz, co się wydarzyło!

- Daj mi szansę. Twoją szafę zjadły korniki, a w dodatku zgubiłaś szczytkę do włosów - jęknęła Molly. - Angelo, na litość boską...

- Zaraz, zaraz, gdzie jest Guy? - Angela zupełnie jej nie słuchała. - Och, został gdzieś. - Obejrzała się i dostrzegła go przy wejściu. - Guy, są tutaj! - krzyknęła w stronę narzeczonego.

Szczęśliwie Guy prezentował się w miarę przyzwoicie, choć wyglądał zupełnie inaczej niż mężczyzna, którego nie tak dawno pożegnali. Guy promieniał. Uśmiechał się od ucha do ucha. Wprost rozpierało go szczęście.

- Świetnie. Wiedziałem, że tu ich znajdziemy. Słyszałem, że ta restauracja utrzymuje się głównie dzięki pannie Copeland.

- Jesteś taki bystry. - Angela objęła Guya, a on odwzajemnił jej uścisk. Molly patrzyła na nich w milczeniu. Jeszcze tydzień temu Guy chyba umarłby ze wstydu, widząc Angelę w takim stanie, a teraz nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

- Przyjechaliśmy po klucze Angeli - powiedział.

- Zostawiłeś je w salonie u Molly - wyjaśnił uprzejmie Jackson, a Guy jęknął.

- Nie przyszło wam do głowy, żeby je ze sobą wziąć? Jackson, uśmiechnął się lekko.

- Cóż... Nie sądziliśmy, że nas tu znajdziecie. Panno Copeland - Jackson zwrócił się do starszej pani - pozwoli pani, że jej przedstawię Angelę i Guya. Angela pracuje z Molly, a Guy jest... - zawahał się.

- Moim narzeczoną - dokończyła z dumą Angela, poprawiając na palcu zaręczynowy pierścionek z diamentem. -Przez chwilę nim nie był, ale teraz znów jest, i tym razem na zawsze.

Cały Guy - mógł zostawić klucze, ale nie zapomniał o zaręczynowym pierścionku.

Molly spojrzała na Hannah i ku swemu zdumieniu dostrzegła, że starsza pani promienieje.

- Nareszcie prawdziwi narzeczeni. Nie chcielibyście kupić mojej farmy?

- Za trzy miliony? ~ Guy rozluźnił krawat i uśmiechnął się. - Przykro nam, ale nie.

- Czy nie uważacie, że niektórzy ludzie mają specyficzne gusty? - Hannah zmieniła nagle temat, mierząc wzrokiem An-gelę. - Jedni ubierają się jak na pogrzeb, a inni...

- Jak na ślub - dokończyła Angela, nie dając nikomu dojść do głosu. - Guy przyjechał autobusem - oznajmiła. - Szkolnym autobusem - wyjaśniła, ściskając rękę narzeczonego, który lekko się zarumienił. - Tuż obok szkoły Sama jest kwaciarnia, ale do samochodu Guya nie zmieściłyby się wszystkie kwiaty. Przed szkołą właśnie zbierały się dzieci na wycieczkę i Guy postawił im wszystkim lody. Autokar zmienił trochę trasę, a każde dziecko dostało do ręki bukiet róż.

- O rety! - Molly popatrzyła na Guya, którego rumieniec przybrał już purpurowy odcień. Zaimponował jej. Nie tylko skorzystał z jej propozycji, ale bardzo ją rozwinął.

- Stałam przed domem, wściekła na taksówkarza, bo zapomniałam torebki i nie miałam czym zapłacić. Wtedy pojawiły się dzieciaki z kwiatami. Na końcu szedł Guy. Ukląkł przede mną i spytał, czy za niego wyjdę. Dzieciaki wytrzeszczały oczy i czekały w napięciu. Co miałam zrobić?

- To bardzo oryginalne oświadczyzny - stwierdziła Molly, a Angela rozpromieniła się jeszcze bardziej.

- No pewnie. - Zwróciła się do Hannah: - A więc to pani jest panną Copeland. - Wyciągnęła rękę na powitanie. - Miło mi panią poznać. Próbuje pani przemówić tym dwojgu do rozsądku?

- Przemówić do rozsądku? - Hannah nie bardzo wiedziała, co przez to rozumieć.

- Przecież oni są dla siebie stworzeni - oznajmiła Angie. - Szkoda, że on jest zaręczony z tą...

- Angelo! - Molly podniosła się gwałtownie z krzesła. - Tym razem przesadziłaś!

- Nie jest zaręczony - wyjaśniła szybko Hannah, a Molly znów zapragnęła zapaść się pod ziemię.

- Nie? - Angela popatrzyła na Jacksona. - Chcesz powiedzieć, że ta kobieta z gazety nie jest twoją narzeczoną?

Jackson nie spuszczał wzroku z Molly. Co powiedziała Angela? „Oni są dla siebie stworzeni”.

- Nie.

- Całe szczęście. W takim razie ożeń się z Molly.

- Angelo!

Jackson najwyraźniej stropił się, nie wiedząc, jak zareagować. Molly nie miała żadnych wątpliwości. Była przerażona. Hannah słuchała z uwagą.

- Myślisz, że powinien to zrobić?

- Oczywiście - potwierdziła Angela, przytulając się do Guya. - Molly zasługuje na szczęście, tak samo jak ja.

- Nigdy się z nią nie ożeni, jeśli nadal będzie się tak ubierała - powiedziała Hannah, a Molly zrobiła głęboki wdech.

- Bardzo przepraszam, ale to już przesada! Jednak nikt nie przejął się jej protestem.

- Molly lubi kolorowe stroje i kiedyś zawsze wyglądała jak piękny kwiat - wyjaśniła Angela. - Teraz nie ma do tego nastroju, no i pieniędzy. To wszystko przez ten wypadek. Jej siostra i szwagier zginęli tragicznie.

Molly musiała zaopiekować się ich synkiem. W dodatku, kiedy jej narzeczony dowiedział się o dziecku, zostawił ją. Planowali wspólną przyszłość. Odkładali nawet pieniądze na dom, ale oszczędności składali na nazwisko tego drania. Gdy ją rzucił, Molly straciła wszystko. Nie wiem, jak mogła do tego dopuścić. No, a potem... - An-gela zrobiła pierwszy wdech od początku przemowy - pojawił się Jackson.

- Jackson - powtórzyła słabo Hannah.

- Zupełnie na jego punkcie zwariowała - oznajmiła An-gela, a Molly omal nie zsunęła się pod stół. - On ją pocałował.

Zupełnie na jego punkcie zwariowała... Jackson patrzył na pobladałą twarz Molly. Daj spokój, zachowaj zimną krew, upomniął się w duchu.

- Ile jeszcze osób wie, że cię pocałowałem? - spytał ostro.

- Przynajmniej wszyscy goście restauracji - odpowiedziała Hannah. Rzeczywiście. Na sali panowała przejmująca cisza, a wszyscy ludzie przysłuchiwali się ich rozmowie.

- Cóż. - Angela zarumieniała się lekko, ale nie miała zamiaru prze-rwać. - To prawda. Gdy wrócili do domu z weekendu, Molly wyglądała jak bożonarodzeniowa świeczka. To było coś najmiłszego, co jej się przydarzyło od czasu rozstania z tym beznadziejnym Michaeliem. A te-raz ten idiotyczny artykuł. - Oczy dziewczyny zwięziły się w cienkie szparki. -Więc nie jesteś zaręczony?

- Nie! I nie sędzę, żeby tak napisali w gazecie.

- W takim razie ta Cara...

- To nie wasza sprawa. - Jackson zamknął na chwilę oczy, po czym wstał. Sprawy zaczęły wymykać się mu spod kontroli.

Chciał wszystko przemyśleć. - Muszę już iść. Panno Copeland, jeśli nie chce pani sprzedać mi tej posiadłości...

- Ależ chcę. Tylko jeszcze nie teraz.

- Nie lubię, gdy traktuje się mnie niepoważnie - powiedział, nie patrząc na Molly.

- Ja również - odparła Hannah i Molly pomyślała, że ta kobieta jest równie twarda w interesach jak Baird.

- W takim razie, co pani proponuje?

- Wraca pan do kraju za trzy tygodnie?

- Tak.

- A zatem podpiszę kontrakt za trzy tygodnie. Na farmie. Jak poznam Careę.

- Ja...

- Chce pan kupić tę posiadłość, prawda?

Chciał. Wiedział, że taka okazja już nigdy się nie powtórzy. Farma była naprawdę wspaniała. Zwyciężył zdrowy rozsądek.

- Prawda. Ale musi być przy tym mój prawnik.

- W takim razie oczekuję pana i panny Cary. Oraz panny Farr. No i pańskiego prawnika.

- Nie pojedę na farmę - oznajmiła twardo Molly, a wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Ależ oczywiście, że pojedziesz. - Hannah nie miała żadnych wątpliwości.

- A żaby Sama? Przecież trzeba je wypuścić - dodała An-gela. - Czy to nie najlepsza okazja?

W tej chwili Guy stracił cierpliwość.

- Budujecie dla żab luksusowy apartament, a potem chcecie je wypuścić?

- Żaby rozmnażają się tylko w naturalnym środowisku. - Molly doszła do stanu, w którym wszystko, nawet największy absurd, wydawało się mieć sens.

- A rozmnażanie to bardzo ważna funkcja życiowa -stwierdziła Hannah. - Kojarzenie par, szczęśliwe stadła...

- Żabie? - Jackson patrzył na nich z góry. - Rozumiem. - Potrząsnął głową. - Wystarczy tego. Wychodzę.

- Ja również. - Molly sięgnęła po torebkę i ruszyła w stronę drzwi.

- Mam nadzieję, że zobaczymy się na farmie za trzy tygodnie - osadziła ich w miejscu Hannah.

Molly wiedziała, że jeśli nie pojedzie, straci pracę. Jackson zaś nie dostanie w inny sposób upragnionej farmy.

- Zgoda ~ powiedziała Molly.

- W porządku - Jackson zgodził się także.

- Świetnie. W takim razie usiądźcie i zamówmy deser. Mają tu wyborną tartę cytrynową. Musicie spróbować.

- Ja już mam dosyć. - Jackson spojrział na Angelę. - Nie mam najmniejszej ochoty na słodycze - wysyczał i z tymi słowami ruszył w stronę wyjścia, nie oglądając się za siebie.

Rozdział dziesiąty

Dochodziła dziewiąta wieczór, a Molly wciąż nie mogła odzyskać równowagi po fatalnym lunchu. Sam wreszcie zasnął, ale nie bez oporów.

- Musimy w końcu złożyć domek do końca. Za trzy tygodnie wypuścimy nasze żaby. Musimy im dać szansę, żeby sobie w nim pomieszkały.

- Spokojnie, zdążą pomieszkać - zapewniła chłopca Molly, studiując uważnie instrukcję. Uff, może Guy i Angela oprzytomnieją na tyle, by jej pomóc. Albo poradzi sobie sama.

Jednak żadne z tych rozwiązań nie wydawało się wystarczająco prawdopodobne.

- Zadzwoń do sklepu, żeby kogoś przysłali - powiedziała zdesperowana Molly. Trudno, będzie kosztowało, ale niech tam. Albo...

- Pan Baird powiedział, że to zrobi.

- Wiem. Ale posłuchaj, chcę ci coś powiedzieć. Zauważyłeś, jaki on jest przystojny?

- No... chyba tak.

- Zaufaj mi, jest bardzo przystojny. A teraz pozwól, że dam ci pewną radę, młody człowieku. Nigdy nie ufaj przystojnym ludziom.

- Dziewczynom też? - spytał chłopiec, marszcząc brwi.

- Też. - Ale głównie mężczyznom, pomyślała.

- Naprawdę myślałem, że przyjdzie - wyszeptał sennym głosem w poduszkę. Smutno mi, że jest taki przystojny i nie dotrzymuje obietnic.

Mnie również, pomyślała Molly już w salonie. Bardzo, bardzo mi smutno. Gdybym nie była odpowiedzialną osobą, poszłabym po następ-

ną porcję lodów. Spojrzała na żaby Sama, które siedziały w swoim małym pudełku, wykazując kompletny brak zainteresowania jej rozterkami.

- Dobrze, dobrze, nie umiem budować żabich domów, ale jestem świetnym pośrednikiem handlu nieruchomościami. Jak wezmę prysznic, wpuszczę was do wanny. - Przypomniała sobie, co mówił Jackson. - Tylko obiecujcie mi, że nie wskoczycie do toalety. Nawet ja nie myślę, że życie jest aż takie złe i ponure.

To stwierdzenie wcale nie rozśmieszyło żab. Cóż, a niby dlaczego miałyby je rozśmieszyć? Jej również nie poprawiło humoru.

Spać...

W tej samej chwili rozległ się dzwonek.

To pewnie Trevor. Przyszedł, by spalić ją na stosie. Wiedział, że kontrakt nadal jest nie podpisany. Z ciężkim westchnieniem otworzyła drzwi.

- Przyszedłem skończyć składanie domku - oznajmił Jackson i wszedł do środka.

- Co?

- Przyszedłem skończyć robotę. Zgodnie z obietnicą. Postawił na podłodze skrzynkę z narzędziami i podwinął rękawy swetra. Molly odzyskała głos.

- Wiesz... Sądziłam, że to, co zaszło podczas lunchu, zwalnia nas z wszelkich obietnic.

- Nie obiecywałem tobie. Obiecałem Samowi. Wreszcie mam odpowiedni śrubokręt. - Jackson otworzył pokaźnych rozmiarów skrzynię. - Niezła kreacja - rzucił, spoglądając na nią znad narzędzi.

Molly zarumieniła się. Miała na sobie różowe spodenki do joggingu i porozciąganą bawełnianą koszulkę.

- Żartujesz.

- Na pewno lepsza od tej, w której występowałaś podczas lunchu.

Molly uznała, że bezpieczniej będzie skierować rozmowę na inne tory.

- Wiesz, jak tego używać? - Wskazała głową na narzędzia.

- Jasne - odparł Jackson.

Powiedział to jednak takim tonem, że Molly nadal miała wątpliwości.

- Jakoś ci nie wierzę. Co to jest? - spytała, biorąc do ręki jedno z narzędzi, którego przeznaczenia nie знаła.

- Przyrząd do wiercenia okrągłych otworów - oznajmił z taką pewnością siebie, że nie uwierzyła mu ani trochę. - Mogę wywiercić ci otwór, gdzie tylko zechcesz.

Naturalnie. Cóż innego mógł powiedzieć? Jak to się działo, że ten człowiek w każdej sytuacji potrafił ją rozśmieszyć?

- To największy zestaw narzędzi, jaki widziałam w życiu.

- Wiedziałem, że zrobi na tobie wrażenie. Dlatego go kupiłem.

- Kupiłeś tę skrzynię specjalnie na dzisiejszą okazję?

- Mamy dużo do roboty.

Wyglądał wspaniale. W spłóviałych džinsach i delikatnym kaszmirowym swetrze, najwyraźniej z upodobaniem często noszonym, wyglądał swojsko i po domowemu. Zupełnie nie przypominał śpiącego na milionach biznesmena. Dziś mógł być kimkolwiek. Nawet czyimś chłopakiem, Albo kochankiem.

Niestety. Był Jacksonem Bairdem, klientem. I facetem związanym z niejaką Cara. Lepiej będzie, jak o tym nie zapomni.

- Skończenie domku nie powinno zająć dużo czasu.

- Rzeczywiście, z pomocą narzędzi szybko się z tym uporamy. Potem powiesimy twoje węzły.

- Moje węzły?

- Nie pojedę do Stanów, dopóki nie zawisną na ścianie. Zbyt długo byłeś w tym domu gościem.

- Nie czuję się jak gość.

- Ale tak się zachowujesz. Siedzisz beczynnie, pozwalając, by sprawy toczyły się niezależnie od twojej woli. Czy na przykład zrobiłaś cokolwiek, by odzyskać swoje pieniądze i oskarżyć tego Michaela?

- On jest prawnikiem, zna wszystkie kruczki i poradziłby sobie ze mną bez trudu. Musiałabym jeszcze ponieść koszty procesu.

- Domyślam się, że na to właśnie liczy. A gdybym tak wypożyczył ci Rogera Francisa? Francis jest tak paskudny, że z pewnością dałby sobie radę z twoim eks.

- Nie lubię...

- Nie lubisz Rogera? - Uśmiechnął się. - Ja też nie, ale to bystry facet. Założę się, że dobrałby się do skóry Michaelowi. Zastanów się.

- Dlaczego to robisz?

W odpowiedzi tylko potrząsnął głową.

- Pomóż mi wreszcie sklecić te nóżki.

Pracowali razem ramię w ramię. Kiedy skończyli budowę domku, ustawili go obok barku i napelnili sadzawki wodą. Jackson ostrożnie przełożył obie żaby do ich nowego lokum.

Molly patrzyła, jak delikatnie bierze je w dłonie i unosi do góry, jakby to były drogie klejnoty.

Niczym żabi książe. Trzymając je w ręku, wyglądał nie jak bezwzględny biznesmen, ale jak ktoś...

Ktoś, kogo mogłaby kochać całym sercem i duszą.

Przygryzła wargę. Jackson dostrzegł jej zmieszanie.

- Co jest?

- Nic.

Żaby nie wykazywały najmniejszej ochoty, by uciec z jego dłoni. Na miejscu zwierzątek zachowałyby się tak samo. Jackson pogłaskał delikatnie ich grzbiety wskazującym palcem, a ona zadrżała. Cała scena wydała jej się nagle niewiarygodnie wprost podniecająca.

Do diabła! Powinna chyba wziąć zimny prysznic. Spojrzała ze złością na Jacksona, a potem wyjęła z jego rąk żaby i wsadziła je do sadzawki. Oboje patrzyli z zachwytem na swoje dzieło.

- Gotowe. Możesz już iść - powiedziała w końcu Molly.

- Najpierw węzły - zaprotestował, nie przestając patrzeć na żaby. Siedziały nieruchomo, przyglądając się sadzawkom, wodospadom, zielonym wyspom i Molly mogłaby przysiąc, że się uśmiechały.

, - Są ustawione do końca życia - zażartowała. Zaraz jednak przyszła jej do głowy inna myśl. - Guy ma rację. To niemądre. Kiedy oddamy żaby, domek opustoszeje i Sam...

- Będzie za nimi tęsknił - dokończył za nią Jackson. - Zamierzałem z tobą o tym porozmawiać.

- Naprawdę?

- Tak. Mam ze sobą broszurę wydaną przez Towarzystwo Ratowania Żab. Wiedziałaś o tym, że bezdomne żaby można oddać do rodziny zastępczej do czasu, aż będą mogły zostać wypuszczone na wolność?

- Żartujesz?

- Nie. Każdy może zostać takim zastępczym rodzicem, pod warunkiem że przejdzie krótkie przeszkolenie.

- Uważasz, że ja i Sam moglibyśmy spróbować?

- Macie już domek. Nie widzę powodu, dla którego mielibyście go nie wykorzystać.

Ten facet był wprost niesamowity.

- Sam będzie zachwycony.

- Wiem - odparł, starając się zrobić skromną minę, a miłość do niego przepełniała serce Molly.

Stop. Musi zachować dystans! Ale jak to zrobić, skoro jedyną myślą, jaka chodziła jej po głowie, było rzucić się mu w ramiona, całować do utraty tchu i sprawić, żeby jej pragnął...

To niemożliwe. On wyjeżdża, a poza tym ma przecież inną kobietę.

- Wynałazłeś to dla Sama?

- Tak. Od dziś możesz nazywać mnie Panem Wspaniałym. - Puścił do mej oko. - Tak naprawdę, powiedział mi o tym facet w sklepie, w którym kupiłem domek. To on dał mi ulotkę.

Tego właśnie trzeba było Samowi. Będzie mógł pielęgnować swoją miłość do żab, przyczyniając się do zachowania gatunku.

- Dziękuję - powiedziała Molly. Wiedziała, że nie zabrzmiało to zbyt pewnie, ale nie ufała sobie. Jedno słowo więcej, a rozklei się całkowicie.

Zapadła cisza. Jackson patrzył na Molly w skupieniu. Powinna powiedzieć coś jeszcze, ale mogła myśleć tylko o tym, że on jutro wyjeżdża i zobaczy go jeszcze tylko raz w życiu. A potem - nic. Pustka.

Musi się opanować. Powiedzieć coś normalnym głosem. Uśmiechnąć się.

- Zabierajmy się do tych węzłów.

- Dobrze - zgodził się, ale nie spuszczał z niej wzroku.

- Nie musisz tego robić.

W odpowiedzi Jackson ruszył do pudła z narzędziami, wyjął młotek i haki i podszedł do ściany. Nic więcej nie zostało do powiedzenia.

Jakąś godzinę później wszystkie węzły wisiały na ścianie. Wyglądały imponująco.

- Do czego służy ten? - spytał Jackson, wskazując jeden z nich. - Do wiązania procy?

- Do przywiązywania homarów - odparła automatycznie. - Możesz przywiązać go do pętli albo do wolnego końca. Ciągniesz końcówki i linka zaciska się na szczypcach.

- Cóż za wiedza! Zupełnie jak moja na temat przyrządu do wiercenia otworów.

- Dużo większa! - zaprotestowała poważnie Molly.

- No dobrze. - Jackson odłożył młotek i z satysfakcją spojrzął na swoje dzieło. - Zupełnie nieźle wyszło. Teraz to miejsce przestało być wyłącznie reliktem przeszłości. Patrzy w przyszłość. Będiesz mogła dyskutować ze swoimi gośćmi na temat wiązania procy, niezależnie od tego, do którego końca patyka będą chcieli przymocować sznur. Dacie sobie radę. Sam ma żaby, a ty swoje węzły.

- Tak. - Zgodziła się, myśląc, że już dawno powinna je zawiesić. Teraz nareszcie czuła się jak u siebie w domu.

No, prawie.

Dom był tam, gdzie było jej serce.

- Masz ochotę na filiżankę kawy? - zaproponowała. Popatrzył na nią dziwnie, tak że poczuła się zmieszana.

- Nie, dziękuję.

- O której jutro lecisz? - Zachowywała się jak kompletna idiotka, ale nie stać jej było na nic więcej. Dziwiła się, że w ogóle może wydobyć z siebie głos.

- Rano.

- Aha.

- Powinienem już iść.

- Chyba tak.

Stali tak blisko siebie. Bardzo blisko. Mogła wyciągnąć rękę i dotknąć go. Przyciągnąć go do siebie...

I co dalej? Przygoda na jedną noc? Sprowokować go, aby zdradził nieznaną Care?

Nie jestem amatorką takich przygód, pomyślała. Spojrzała Jacksonowi w oczy i zrozumiała, że on myśli w tej chwili dokładnie o tym samym, co ona. I pragnie tego samego.

- Molly...

- Przestań. - Jeszcze jedno słowo, a rzuci mu się w ramiona, choć o nic jej nie prosił. Wystarczyło tylko, że stał obok i patrzył. - Idź już.

Patrzył na nią jeszcze przez dłuższą chwilę, aż w końcu skinął głową. Jakby decyzja, którą właśnie podjął, przyszła mu z dużą trudnością.

- Może tak będzie lepiej.

- Na pewno. Nie zapominaj o istnieniu Cary.

- Nie zapominam.

- Nie powinieneś tu nawet przychodzić. A może ona nie miałaby nic przeciwko, wiedząc, że spędzasz wieczór z inną kobietą?

Nie odpowiedział. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kartkę.

- Tu znajdziesz Rogera Francisa - powiedział oficjalnym tonem. - Oczekuje twojego telefonu. Mam nadzieję, że zanim wrócę, rozpoczniesz postępowanie przeciw temu twojemu Michaelowi.

- On nie jest mój.

- Więc przeciw nie twojemu Michaelowi. - Uśmiechnął się i uniósł palcem jej podbródek. - Przykro mi, Molly.

- Przykro? Dlaczego?

- Myślę, że wiesz, o czym mówię. Przykro mi, bo nie mam ci nic do zaoferowania.

Pochylił się i pocałował ją mocno, zdecydowanie, pocałunkiem, który nie niósł ze sobą żadnych pytań i nie wymagał odpowiedzi.

Pożegnalnym pocałunkiem.

Odwrócił się i wyszedł.

RS

Rozdział jedenasty

- Molly?
- Tak? - spytała z westchnięciem. - O co chodzi, Angelo?
- Jesteś na mnie naprawdę zła, czy tak?
- Powiedzmy, że nasze stosunki znacznie się pogorszyły.
- Tylko dlatego, że powiedziałam prawdę? Daj spokój, Molly. Przecież nie wyrządziłam ci krzywdy. Czy gdybym nie poruszyła tego tematu, facet straciłby dla ciebie głowę?
- Naturalnie, że nie.
- Sama widzisz.
- Ale ogłaszanie, że zostaliśmy dla siebie stworzeni, nie było w porządku.
- Uznałam, że powinien wiedzieć, jak sprawy stoją.
- Dzięki, Angie, ale mam swoją dumę.
- Moja mama powiada, że miłość i duma nie idą w parze.
- Nie, Angie. To ja nie idę w parze z milionerem. Wierz mi, myślałam, że zapadnę się pod ziemię ze wstydu.
- Nie dawał znaku życia?
- Naturalnie, że nie.
- Szkoda. Byłoby miło.
- Byłoby... śmiesznie.

- Cara?
- Jackson. Miło cię słyszeć. Gdzie jesteś, kochanie?

- Tu, gdzie miałem być. W Nowym Jorku. Liczyłem, że ciebie również tu zastanę.

- Rzeczywiście, zamierzałam polecieć do Stanów. - Zawahała się. - Ale spotkałam pewnego człowieka... - Cisza.

- To ktoś' specjalny? - spytał ostrożnie Jackson.

- Chyba tak. - Zaśmiała się cicho. - Wiem, wiem. Po tym, co przeżyła mama, zaklinałam się, że nie chcę się wiązać z żadnym mężczyzną. Ale Raoul jest inny.

- Raoul?

- Jest Francuzem. I jest po prostu uroczy. Ma w sobie wszystko to, czego brakowało naszym rodzicom. Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Wszystkie moje dotychczasowe plany wzięły w łeb.

Jackson usiadł ciężko na krześle. Był zszokowany. Jego przyrodnia siostra zakochała się.

- Świetnie - wydusił wreszcie. - Poznam go?

- Nie mogę się tego doczekać. Och, Jackson, Raoul jest naprawdę wyjątkowy.

A zatem Cara była zakochana.

- Chciałabym tylko... Ta okropna Dianę...

- Caro, przestań.

- Wiem. Tyle tylko, że moje przykre doświadczenia ograniczają się wyłącznie do historii z rodzicami. Ty przeszedłeś dużo więcej. Myślałam, że nigdy nie wyjdę za mąż, ale odkąd poznałam Raoula...

- Po prostu rzucił cię na kolana.

- Żebyś wiedział. Jest inny od mężczyzn, których do tej pory spotykałam. Jackson, myślisz, że kiedyś mógłbyś zapomnieć o Dianę?

- Nie!

- Tylko dlatego, że twoja matka i ojciec...

- Ufałem Dianę.

- A ona pragnęła jedynie twoich pieniędzy - westchnęła Cara. - Mia-
łeś szczęście. W porę odkryłeś, że dziecko nie jest twoje. Byłeś taki
młody, Jackson. Ale na świecie jest tylu wspaniałych ludzi. Sama sobie z
tego nie zdawałam sprawy. Dopiero teraz zaczęłam ich poznawać...

To prawda, pomyślał Jackson. Na przykład Molly. Ale jak mógłby jej
zaufać po tym, co mu się przydarzyło? Prosił o zbyt wiele.

- Domyślam się, że w związku z najnowszymi wydarzeniami nie je-
steś zainteresowana osiedleniem się w Australii? - spytał, odpychając
niewygodne myśli.

- Raczej nie. Teraz wszystko się zmieniło. Raoul ma mieszkanie w
Paryżu i dom na północy Francji. Nie będziemy chyba potrzebowali...

- Przyrodniego brata?

- Nie to chciałam powiedzieć. Brat zawsze będzie mi bliski.

- Ale nie bardziej niż Raoul.

- To prawda. Mam nadzieję, że... Och, Jackson. Mam nadzieję, że i ty
kogoś poznasz. Jestem taka szczęśliwa. - Niemal usłyszał, jak się uśmie-
cha. - Kupisz tę farmę?

Zastanowił się.

- Tak. Jeśli będę mógł.

- To świetny pomysł. Chcemy mieć z Raoulem dużo dzieci, więc bę-
dziemy cię odwiedzać. Kiedyś zapiszesz tę posiadłość swoim siostrzeń-
com. Przecież nie przekażesz całej fortuny na schronisko dla zwierząt.

A może na schronisko dla żab, pomyślał. Nie wiedział już, co myśleć.
Molly?

Może. Chyba mógłby...

- Molly, wszystko w porządku?

- Cześć, Angie. Jasne.
- Byłaś dziś w biurze jakaś nieswoja. Zupełnie, jakbyś błędziła duchem gdzie indziej. Unikasz mnie.
Rzeczywiście. Unikała wszystkich.
- Czy z Samem wszystko w porządku?
- Tak, czuje się dobrze.
- Dzwonił Jackson?
- Angelo, dasz mi wreszcie spokój? Dlaczego miałby do mnie dzwonić?
Od jego wyjazdu minął tydzień. Długi, beznadziejnie pusty tydzień.
- Ma zamiar kupić od ciebie posiadłość.
- Wszystko załatwia przez prawnika. Wraca tylko, aby podpisać dokumenty.
- Chcesz powiedzieć, że widziałas się z miażdżącym żaby Rogerem?
Ale miło.
- Angie, przestań.
- Martwię się o ciebie. Mam do tego prawo. Trzymaj się z daleka od tego Francisa.
- On ma mi pomóc w odzyskaniu pieniędzy od Michaela. To taki gest uprzejmości ze strony Jacksona.
- Ten prawnik ma ci wyświadczyć przysługę? Nie wierz w to.
- Jackson mu zapłaci - wyznała Molly cicho.
- Nie zapominaj, że mówimy o Michaelu. Czy Francis sądzi, że potrafi wycisnąć krew z kamienia?
- Mało prawdopodobne, by mu się udało - przyznała Molly.
- Na początku nawet nie chciałam o tym słyszeć, ale pan Francis przekonał mnie, że Michael chciałby ze mną porozmawiać.

- Na pewno ci powie, jak bardzo mu przykro. Nie wierz mu. A Roge-
rowi też bym nie ufała.
- Nie ufam żadnemu z nich.
- W takim razie, dlaczego to robisz?
- Potrzebuję pieniędzy dla Sama.
- Naprawdę sądzisz, że zdołasz je odzyskać?
- Już nie wiem, co o tym myśleć - wyznała. - Ale chodzi o przyszłość
Sama. Nie stać mnie na zapewnienie mu lepszej szkoły, więc próbuję.
- Ale nie zaufasz im?
- Nie, obiecuję.
- Przyjmiesz pomoc Jacksona?
- Tak. Wydaje mi się, że powinnam.
- Przynajmniej tyle z tego będziesz miała. Ten człowiek jest ci wiele
winien.
- Dlaczego tak myślisz?
- Złamał ci serce.
- To Michael złamał mi serce.
- Nie. Michael zranił twoją dumę i wyczyścił konto w banku, a to zu-
pełnie co innego. Kiedy zerwaliście ze sobą, nie wyglądałaś na osobę ze
złamanym sercem.
- A jak wyglądałam?
- Jak ktoś, kto nie ma w sobie ognia.
- Cóż za poetyckie porównanie.
- Gdzieś to przeczytałam. Musisz coś zrobić, Molly.
- Cały czas coś robię. Pracuję. Opiekuję się Samem. Próbuję odzy-
skać pieniądze.
- Chodzi mi o Jacksona

- Przecież mu wszystko powiedziałaś. Nie wiem, co więcej mogłabym zrobić.

Angie natychmiast znalazła odpowiedź.

- Może wsiąść do samolotu i poszukać go?

- Daj spokój. Nawet ty wiesz, że to głupi pomysł.

- Takie czasy. Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma. Trzeba postawić wszystko na jedną kartę.

- Skąd u ciebie tak radykalne poglądy?

- Nie wiem. - Angela westchnęła. - Ale naprawdę do siebie pasujecie.

- Rzeczywiście. Ja i milioner. A rzeczywistość jest bardziej prozaiczna - ja i żaba.

- Całowałaś Lionela?

- Daj spokój, Angie. Wracaj do Guya. Nie potrzebuję twoich rad.

- Francis? - Głos Jacksona brzmiał oschle i rzeczowo. Tylko w ten sposób należało rozmawiać z tym człowiekiem. Czasem myślał, żeby poszukać sobie w Australii innego doradcy, ale Roger Francis był niezwykle skuteczny.

- O, pan Baird. W czym mogę pomóc?

- Zastanawiałem się, czy kontaktował się pan z Molly Farr w sprawie jej pieniędzy.

- Tak.

- I co pan o tym myśli?

- Sądzę, że są pewne szanse. - Prawnik sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie, jak zawsze zresztą. - Rozmawiałem z jej byłym narzeczonym, który zdaje się ma wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobił. Zamierza zwinąć swoją lokalną praktykę i przenieść się do Sydney.

- A co to ma wspólnego z Molly?
- Twierdzi, że chciałby się z nią pogodzić.
- Żartuje pan! - Jackson był szczerze zdumiony.
- Zmęczyła go praca na prowincji. Potrzebuje kogoś w Sydney, żeby się zahaczyć, więc postanowił pogodzić się z Molly i upiec w ten sposób dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- Molly nigdy się na to nie zgodzi.
- Może się okazać, że to leży w jej dobrze pojętym interesie. To w końcu prawnik. Z pewnością może zarobić znacznie więcej niż ona.

- Co to znaczy? Czyżby doradził jej pan, żeby pojednała się z Michałem dla... dla pieniędzy?

- Nie. Poradzę jej, by zrobiła to, co uzna za stosowne. Zwłaszcza że szansa na odzyskanie pieniędzy jest niewielka. Gdyby jednak wyszła za niego za męż...

- Nie!
- To bardzo rozsądne rozwiązanie.
- Nie!

Po gwałtownym proteście Jacksona zapadła cisza. Dopiero po dłuższej chwili padło pytanie:

- Co mam przekazać pannie Farr?
- Nic. To jej sprawa. Niech pan robi to, co uzna pan za najlepsze.

Koniec rozmowy.

- Molly?
- Michael! Nie mam ci nic do powiedzenia.
- Nie odkładaj słuchawki. Musimy porozmawiać.
- O czym?
- O nas.

- Nas nie ma.
- Nie. Do diabła, Molly, byłem takim głupcem.
- Ja nazwałabym cię kryminalistą. Jeśli masz mi coś do zakomunikowania, przekaz to Rogerowi Francisowi.
- Właśnie on zasugerował mi, że powinniśmy się spotkać.
- Naprawdę?
- Tak. Pomyślałem więc, że możemy zjeść razem lunch. Ja stawiam. Tylko przyjdź i wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia
- Podaj choć jeden powód, dla którego miałabym spełnić twoją prośbę.
- Proszę bardzo. Sam potrzebuje rodziny.
- No wiesz!
- Roger Francis przedstawił mi waszą sytuację finansową i, mówiąc szczerze, poczułem się okropnie. Nie miałem zamiaru... Nigdy tego nie przemyślałem. I nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo za tobą tęsknię. Pomyślałem więc...
- Hej, to ty wpakowałeś mnie w te kłopoty. Nie zapominaj.
- A zatem także ja powinienem cię z nich wyciągnąć. Zjedz ze mną lunch.
- Dobrze, ale nie licz na nic więcej - ucięła krótko Molly i zakończyła rozmowę.

- Panie Baird, dzwonię, żeby poinformować, że wszystko przebiega gładko. Kontrakt jest przygotowany. Panna Copeland przyjedzie na farmę w następną niedzielę, podobnie jak panna Farr.
- Doskonale. Czy Sam będzie z nimi?
- Sam?
- Siostrzeniec Molly. Chciałbym, żeby go ze sobą przywiozła.

- Rozumiem. Mam jej powiedzieć, żeby go zabrała?
- Tak.
- W takim razie może przywiozłaby również swojego partnera? Widzi pan...

- Partnera?
- Wygląda na to, że jej stosunki z byłym narzeczonym znacznie się poprawiły. Widziałem się z nim wczoraj. Wydawał się bardzo zadowolony. Zdaje mi się, że nie trzeba będzie wszczynać postępowania sądowego.

Jacksonowi wcale nie spodobało się to, co usłyszał.

- Ten człowiek ją oszukał.
- Ale chce jej to teraz wynagrodzić. Myślałem, że właśnie o to panu chodziło. Aby panna Farr pozbyła się kłopotów finansowych.
- Tak.
- W takim razie wszystko jest na najlepszej drodze. Jej narzeczony na pewno szeroko rozwinie skrzydła w mieście

1 już wkrótce zacznie zarabiać mnóstwo pieniędzy. Potrzebuje jedynie odpowiedniego wsparcia, a ona mu je zapewni.

- Czyżby?
- Byłaby głupia, gdyby nie przyjęła jego oferty. I jeszcze jedno... - Prawnik zawahał się. - Z tego rozwiązania płynie dodatkowa korzyść. Cała ich trójka ma szansę stworzyć pełną rodzinę.

- Świetnie. - Po prostu wspaniale. Dlaczego więc tak źle przyjął tę wiadomość - Coś jeszcze?

- Nie. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu na farmie. Szkoda tylko, że nie potrafię powiedzieć, iż już nie mogę się doczekać, pomyślał z goryczą Jackson.

- Cara?

- Jackson, kochanie?
- Chciałem cię spytać o jedną rzecz. Co byś zrobiła, gdyby okazało się, że twój Raoul ma poślubić inną kobietę? Odeszłabyś?
- Mam nadzieję, że nie mówisz o Dianę?
- Nie, nie mówię o Dianę.
- W takim razie o kim?
- O Molly.
- To ktoś ważny?
- Tak bardzo, że nie będę jej stawał na drodze, kiedy okaże się, iż postanowiła wyjść za kogoś innego.
- Jesteś pewien, że jest zaręczona z kimś innym?
- Możliwe.
- Ale dowiesz się na pewno?
- Tak. Dowiem się. A potem wszystko będzie zależało wyłącznie od niej.
- Och, Jackson...
- Nie porzucaj nadziei - powiedział słabo. - Ja ciągle jeszcze ją mam.

Rozdział dwunasty

Farma wyglądała jeszcze wspanialej niż poprzednim razem. Helikopter Jacksona zatoczył nad nią trzy obszerne koła, aby przyszły właściciel mógł wszystko jeszcze raz dokładnie obejrzeć. To naprawdę było najbardziej urocze miejsce na ziemi, jakie znał. Jedyne, co musiał zrobić, to sprawić, by Hannah podpisała umowę. Nic więcej.

Dlaczego właściwie chciał kupić tę ziemię?

Bo to rajski zakątek. Tylko czy będzie mógł z niego teraz korzystać?

Będę, pomyślał twardo. Można tu nawet pracować. W dobie Internetu nie powinno to stanowić większego problemu. Tak, z panem i panią Gray oraz tysiącem żab. I może z Molly.

Właśnie, tu leżał pogrzebany przysłowiowy pies. To było jego skryte marzenie. Musiał tylko...

Do diabła. Powinien mieć więcej zdrowego rozsądku. Czyż niczego się nie nauczył? Kolejne nianie, szkoły z internatami były jedynym sposobem na przetrwanie. Gdyby nie odgradził się w jakiś sposób od swoich uczuć, byłby stracony. Miłość rodziców była tak zaborcza, że w ich obecności czuł się jak osaczony. I ta ich nieustanna rywalizacja o jego względy.

Popełnił w życiu jeden błąd. Zakochał się. Był młody i nie-doświadczony. Pozwolił sobie na miłość, czy raczej na uczucie, które wtedy uważał za miłość.

Dianę zaszła w ciążę.

- Świetnie - powiedział wtedy i rzeczywiście tak myślał. Rodzina... Po raz pierwszy w życiu uwierzył, że jest możliwe, aby i on był szczęśliwy. Pokochał nienarodzone dziecko, które nosiła pod sercem.

Tydzień przed ślubem dostał od kogoś krótki list, w którym ostrzegano go, że nie jest ojcem dziecka. „Wymów to imię i zobacz, jak zareaguje Dianę”, przeczytał.

Nie powinien był tego robić. Powinien jej ufać. Ale...

- Słyszałaś kiedyś o...? - spytał i oniemiał. Dianę wpadła w furję. Jak śmiał ją przesłuchiwać? Jak śmiał sugerować, że dziecko nie jest jego?

A przecież nic takiego nie powiedział. Wypowiedział tylko jedno imię.

Następnego ranka wyjechała. Okłamała go, ponieważ pragnęła jego pieniędzy.

To doświadczenie i przeżycia z dzieciństwa sprawiły, że postanowił do końca życia zostać kawalerem. Cara była jedyną osobą, której ufał.

Na farmie mogliby spokojnie żyć. Teraz, gdy kupi ją tylko dla siebie, będzie się czuł niesłychanie samotny.

W gruncie rzeczy sam robił wszystko, by nadal żyć w pojedynkę. Poświęcił trzydzieści trzy lata na to, aby czuć się szczęśliwym we własnym towarzystwie i nie zamierzał tego zmieniać.

Tylko że tam na dole czekała Molly... Molly z Michaelem.

Jeszcze przed powrotem Jacksona z Nowego Jorku, zadzwonił Roger Francis i powiedział, że pannę Copeland przywiezie szofer, a Molly, Sam i Michael przyjadą razem.

Po prostu wspaniale!

Cóż, przecież osobiście przyczynił się do jej pojednania z Michaelem. Powinien być z siebie zadowolony. Sam będzie miał pełną rodzinę i nareszcie poczuje się bezpieczny.

Tyle tylko, że ojca zastąpi mu człowiek, który okradł i oszukał Molly.

Co tam. W końcu to nie jego sprawa. Czy naprawdę nie potrafił wyciągnąć wniosków z wydarzeń z przeszłości?

Wyrzał przez okienko helikoptera i zobaczył Doreen i Gregora. Oni byli jego przyszłością. Nikt inny. Z westchnieniem zmusił się do uśmiechu.

To będzie doskonały zakup. Musi go dokonać.

- Michael, droga do Birraginbil prowadzi na północ. Powinieneś zawrócić.

- A jedziemy do Birraginbil?

- Naturalnie.

- Zjrzyj do schowka, skarbie. Mam dla ciebie niespodziankę.

- Niespodziankę? Pierścionek zaręczynowy.

To nie mogło się udać.

Hannah Copeland siedziała w ogromnym fotelu na werandzie, nie kryjąc niezadowolenia na widok Jacksona.

Jest pan sam. Gdzie pan zgubił narzeczoną, młody człowieku? To niedopuszczalne!

Sądziłem, że już to wyjaśniłem - odpowiedział cicho, podchodząc, by ucisnąć jej dłoń. - Cara naprawdę nie jest moją narzeczoną.

Gdzie jest Molly? - myślał.

- Tak, ale jest pan z nią związany.

- Należałoby raczej użyć czasu przeszłego - powiedział zgodnie z prawdą, patrząc, jak między brwiami starszej pani pojawia się głęboka zmarszczka.

- Mogę spytać, dlaczego?

- To osobista sprawa. Panna Copeland podniosła się.

- W takim razie nie sprzedam panu mojej posiadłości. Umówiliśmy się, że przedstawi mi pan swoją kobietę.

- Przykro mi. - Rozłożył bezradnie ręce. - Jestem sam. Gdzie, do diabła, podziewa się Molly?

Zmusił się do uśmiechu, uznając, że będzie to najskuteczniejsza taktyka postępowania z panną Copeland.

- Panno Copeland, Cara jest moją przyrodnią siostrą. Mieliliśmy razem kupić farmę. Tymczasem ona zakochała się w jakimś Francuzie, więc jestem sam. Pokochałem to miejsce. Będę nim zarządzał w taki sposób, jakiego pani sobie życzy. Ale nie mogę obiecać czegoś, co nigdy nie nastąpi.

Starsza pani popatrzyła zdziwiona i Jackson odniósł wrażenie, że zaraz podejmie ostateczną decyzję.

Jednak w tej chwili na scenie pojawił się Roger Francis.

- Miał pan jakieś wieści od panny Farr? - spytała Hannah, nie siląc się na uprzejmości.

- Właśnie, gdzie jest Molly? - Po raz pierwszy Jackson wypowiedział swoją myśl na głos.

- Tak mi przykro, panie Baird. - Roger Francis rozłożył ręce w bezradnym geście. - Nie powinienem dopuścić do tego, aby w ogóle obejrzał pan tę posiadłość.

- Nie rozumiem.

- Pańska agentka wyjechała w podróż z narzeczonym, zabierając ze sobą kontrakt i wszystkie niezbędne dokumenty.

Zapadła cisza. Niezręczna i długa. Panna Copeland patrzyła na nich z niesmakiem, a Roger wyglądał przez okno, unikając wzroku Bairda.

- Powiedz mi dokładnie, co zaszło - zażądał w końcu zdenerwowany Jackson.

- Zadzwoiła do mnie z lotniska kilka godzin temu. Pana telefon komórkowy musiał być wyłączony, bo nie mogłem się z panem skontaktować. Dowiedziałem się, że Michael przyjechał do niej wczoraj z trzema biletami na Kajmany. Zaproponował jej małżeństwo. Powiedziała, że takiej oferty się nie odrzuca, no i wyjechali.

Wyjechali.

- O dziewiątej mieli samolot.

A więc byli na lotnisku prawie w tym samym czasie, co ja, pomyślał Jackson i zrobiło mu się słabo. Dlaczego? Z powodu farmy?

Nie. Wiedział, że posiadłość Birraginbil nie ma z tym nic wspólnego.

- A co z kontraktem? - spytała Hannah, patrząc na Jacksona, choć jej także nie chodziło o transakcję. Intuicyjnie czuła, że dzieje się tu coś dziwnego.

- Nie mam pojęcia, co z nim zrobiła. Jej szef też nic nie wie. Był równie zaskoczony jak ja. Wygląda na to, że po prostu rzuciła wszystko i wyjechała.

Znowu zapadła dłuższa cisza.

- A więc to tak - odezwała się w końcu Hannah, a ton jej głosu nie wróżył nic dobrego. - Nie ma kontraktu. Nie ma narzeczonej. Nie ma panny Farr. Wygląda na to, że nawet gdybym chciała, nie mogę panu sprzedać farmy, panie Baird. Może kiedy wrócimy do Sydney, spróbujemy...

- Raczej nie. - Jackson przejechał palcami przez włosy i zamknął oczy.

- Przykro mi - odezwał się Roger. Jackson spojrział na niego.

- Pan z nią rozmawiał. Czy sprawiała wrażenie szczęśliwej?

- Nawet bardzo.

- Jasny gwint. Powinienem...

- Ale nie zrobiłeś tego. - Hannah patrzyła na niego z nie skrywaną ciekawością. Domyślała się, co mu chodziło po głowie. - Co byś powiedział na małą wycieczkę na Kajmany?

- Nigdy tam nie byłem. Ale skoro ona kocha tego człowieka, to...

- A jeśli kocha ciebie?

- Sam nie wiem. Przykro mi, że zająłem pani czas, panno Copeland. Wygląda jednak na to, że вина nie leży jedynie po mojej stronie. Najwyraźniej wybrała pani sobie niewłaściwego przedstawiciela.

W tym momencie do ataku przystąpił Roger Francis.

- Jeśli szuka pan posiadłości tylko dla siebie, proponuję obejrzeć Blue Mountain. Jak pan wie, leży niecałą godzinę jazdy od Sydney i nadal jest na sprzedaż.

- Nie wątpię.

- Z chęcią tam z panem pojadę. Możemy od razu polecieć helikoptrem. Ktoś odbierze mój samochód...

- Dostyc. - Jackson wyciągnął ręce i cofnął się o krok. -Potrzebuję czasu, żeby pomyśleć.

- Mam powiedzieć pilotowi, żeby szykował maszynę do łom?

- Nie. Tak!

Naraz usłyszeli głośny warkot nadjeżdżającego samochodu. Najwyraźniej jechał bardzo szybko, bo silnik rzeźił na najwyższych obrotach.

Po chwili z kłębow dymu wyłoniło się auto, z którego wyskoczyła Molly, a tuż za nią Angela, Guy i Sam.

- Spóźniliśmy się? Odjechał?

Molly wpadła do pokoju jak burza, trzymając w garści dokumenty. Kiedy ujrzała Jacksona, stanęła jak wryta.

Postąpił krok w jej stronę. Papiery wypadły jej z rąk i rozsypały się po podłodze. W jednej chwili znalazła się w jego ramionach.

Zrobiło się zamieszanie. Angela i Guy wbiegli do pokoju tuż za Molly. Sam ścisnął pudełko z żabami, jakby od tego zależało jego życie, ale nie spuszczał wzroku ze szlochającej w ramionach Jacksona ciotki.

- Nigdy nie myślałam, że posunie się tak daleko - mówiła przez łzy. - Sądziłam, że znów coś kombinuje, pojechałam więc, żeby przekonać się, o co chodzi. W trakcie spotkania zrobił się bardzo nieprzyjemny. Usiłował mnie zatrzymać siłą i musiałam z nim walczyć.

- Zaraz, zaraz. Powiedz mi dokładnie, co się wydarzyło.

- To był Michael - wykrzyknęła zza pleców Molly Angela. - I ten... ten szczer. - Wskazała palcem na Rogera Francisa, który nagle poblądł.

- Co on ma z tym wspólnego?

- Zadzwoił do Molly i powiedział jej, że Michael chce się z nią pogodzić. Nie uwierzyła ani jednemu jego słowu. Zastanawiała się, dlaczego obaj tak ją namawiają na to spotkanie. I dowiedziała się. Są w tym samym wieku, a jak myślisz, ile wyższych uczelni prawniczych jest w tym stanie? Popytała tu i ówdzie i okazało się, że obaj kończyli studia na tym samym uniwersytecie, w tym samym roku,

- To jeszcze o niczym nie świadczy - odezwał się Roger, przesuwając się nieznacznie w stronę drzwi.

Molly uspokoiła się na tyle, by kontynuować opowiadanie zaczęte przez Angelę.

- Michael przyjechał i był bardzo miły. Przeczuwałam podstęp. Zaprosił mnie na kolację, a Sama obsypał prezentami.

- Nie dał mi nic, co byłoby tak fajne jak domek dla żab - wtrącił chłopiec.

- Fakt - potwierdziła Molly. - Jakieś głupie zabawki. Wszystko wydawało mi się coraz bardziej podejrzane. A potem uparł się, że mnie tu dziś przywiezie.

- Molly nie ma samochodu, a nie chciała prosić pana o podrzucenie nas helikopterem. Moim zdaniem postąpiła głupio - wyjaśnił Sam. - Przecież pan by nas zabrał, prawda, panie Baird?

- Tak - odpowiedział pospiesznie, mocniej obejmując Molly, która patrzyła na niego wzrokiem pełnym niedowierzania.

Gdzie jest Cara? - myślała gorączkowo. Nie zwracaj uwagi na ciepło jego ciała, nie daj się zwieść czulej trosce w jego oczach, przestrzegaj się w duchu. Weź się w garść i wyjaśnij wszystko do końca.

- Uznałyśmy z Angellą, że najlepiej będzie, jak przyjmę jego propozycję i przekonam się, o co naprawdę mu chodzi. Guy miał jechać za nami, żeby nas ubezpieczać. Okazało się, że Michael, zamiast przywieźć nas tutaj, pojechał na lotnisko.

- Powiedział, że zabiera nas na wakacje na Kajmany - wyjaśnił Sam.

- Widocznie uznaliście mnie za kompletną idiotkę - powiedziała Molly, spoglądając w stronę Rogera.

- Niektóre dziewczyny nie odrzuciłyby takiej propozycji - wtrąciła Angella. Zastawili z Guyem drzwi, uniemożliwiając Rogerowi ucieczkę.

- Przystojny Michael zaproponował ci przecież wakacje życia. I małżeństwo...

- Jakby nic się nie stało.

- Uznał, że nadal go kochasz.

- Jak mogłabym go kochać, skoro... - przerwała. Ramiona Jacksona ciałniej owinęły się wokół jej talii.

- Co było dalej? - spytał.

- Kiedy Michael skręcił, w kierunku lotniska, powiedziałam mu, że chyba żartuje. On na to, żebym nie była głupia. Powiedział, że jeśli kupisz Blue Mountain, zarobimy kupę forsy. Roger jest współwłaścicielem tej posiadłości. Gdyby transakcja doszła do skutku, zarobiłby dużo pieniędzy, a my dostalibyśmy procent. Musieli tylko sprawić, żebym nie dotarła na miejsce i żebyś pokłócił się z Hannah. Wtedy wszyscy śmiałobyśmy się do rozpuku.

- Ty też? Wyszłabyś za Michaela na Kajmanach?

- Nie jestem aż taką idiotką. Nawet tego nie potrafił zrobić jak trzeba. Zamachał mi biletami przed nosem, ale zdążyłam przeczytać, że są w jedną stronę. Nie przyszło mu do głowy, że odczytam z tej odległości drobny druk. Chciał zabrać nas na Kajmany i tam zostawić.

- Niemożliwe!

- Staliśmy na parkingu. Powiedziałam mu, gdzie może sobie schować te bilety. Kiedy zaczął mnie przekonywać, żebym się zgodziła, wzięłam Sama i chciałam wysiąść. Wyrwał mi teczkę z dokumentami i porwał umowę. A potem nawet mnie uderzył.

Uderzył ją!

Jackson uważnie przyjrzał się sporemu siniakowi na policzku dziewczyny.

- Ale udało mi się osiągnąć cel - powiedziała z satysfakcją.

- Jaki?

- Nie sądzisz chyba, że pozwoliłam, aby uszło mu to na sucho? Na szczęście lotniska są doskonale chronione.

- Co zrobiłaś?

- Zaczęłam krzyczeć. Z nosa leciała mi krew. Sam próbował mnie bronić. Wtedy Michael uderzył Sama. Nagle obok nas pojawiło się czterech ochroniarzy i mnóstwo gapiów. Michael został aresztowany.

Oczywiście, szybko wyjdzie z więzienia, ale policja twierdzi, że bez trudu uda mi się go zaskarżyć i uzyskać odszkodowanie. Za cierpienia fizyczne i uraz emocjonalny.

- Nie wyglądasz na bardzo przygnębioną - zauważył oszołomiony Jackson.

Roześmiała się i w naturalnym odruchu objęła go.

- Rzeczywiście. Jestem uszczęśliwiona, że wreszcie jego nienaganna reputacja uległa nadszarpięciu. W każdym razie to koniec jego kariery prawniczej. Nie mogę się już doczekać - wyjaśniła i rzuciła złowrogie spojrzenie Rogerowi. - Tak więc Guy i Angela przywieźli nas tutaj. Guy twierdzi, że próba sprzedaży nieruchomości bez ujawnienia właściciela jest nielegalna. A co ty o tym myślisz, Roger?

- Ja... Nie miałem... Ta dziewczyna...

- Wynoś się - powiedział cicho Jackson, patrząc na Rogera, jakby ten był robakiem. - Wynoś się stąd!

- Nigdy...

Jackson nie zamierzał z nim dyskutować. Miał ochotę go zabić. Opanował jednak wściekłość i powtórzył lodowatym tonem:

- Po prostu stąd wyjdź, Francis.

- Potrafię wszystko wytłumaczyć. Ona się myli. Na litość boską...

- Okłamałeś mnie. Byłeś w zмовie z Michael'em i nic tego nie zmieni. Panno Copeland - zwrócił się do przysłuchującej się w milczeniu kobiety. - Zechce pani być moim świadkiem? Proszę...

- Naturalnie. Zrobię to z przyjemnością. Śmierć przez powieszenie jest zbyt humanitarna dla takich opryszków.

- No, raczej do tego nie dojdzie, ale mam nadzieję, że nie uniknie kary. Zobaczymy się w sądzie. A teraz wyjdź stąd wreszcie.

- Ale...

- Jazda!

Przez chwilę słuchali w milczeniu, jak Roger uruchamia silnik samochodu i odjeżdża. Molly spróbowała uwolnić się z uścisku Jacksona, ale on nie pozwolił jej na to.

- A ty dokąd?

- Chciałam... - Przerwała, po czym uśmiechnęła się. - Właściwie donikąd.

Uznała, że nie ma lepszej opoki niż pewny siebie i troskliwy mężczyzna.

- Dziękuję, że ją tu przywieźliście - Jackson zwrócił się do Angeli i Guya.

- Drobiazg. Poza tym, że rozwaliłem sobie samochód i straciliśmy dzień, który mogliśmy spędzić sam na sam, nic się nie stało. - Guy machnął ręką.

- Guy! - Angela sprawiała wrażenie oburzonej.

- Kiedy to prawda.

- Dam wam w prezencie ślubnym nowy samochód - obiecał Jackson, a Angela przewróciła oczami.

- Będzie wyglądał nieźle obok całej sterty tosterów i ekspresów do kawy.

- Jackson! Myślisz, że możesz tak szastać pieniędzmi na prawo i lewo? - wykrzyknęła zgorziona Molly.

- Daj spokój. Niech sobie szasta, ile chce. - Angela roześmiała się. - Skoro jest taki rozrzutny, to może dopiszemy do listy prezentów brylantową kolbę?

- Angie...

- Tylko mi nie mów, żebym zamilkła. Sama wiem. Sam, zdaje się, że Lionel i jego ukochana już zbyt długo siedzą w tym pudle.

- Rzeczywiście.

- W takim razie pokażmy im ich nowy dom. - Wzięła za rękę Guya i uśmiechnęła się do Hannah. - Co pani o tym myśli? Może pokaże nam pani, gdzie tu jest najlepszy staw dla takiego kawalera i jego damy?

- Z przyjemnością - odparła starsza pani, sięgając po laskę. - Jeśli to, o czym myślę, stanie się faktem, będę miała komu sprzedać moją farmę. A skoro tak, to chcę zostawić po sobie całe mnóstwo żab. Prowadź, Sam.

- Ja też chcę to zobaczyć - krzyknęła Molly.

- Zdecyduj się, czy wolisz oglądać żaby, czy księcia - Angie była nieustępliwa.

- Księcia - odparła bez wahania Molly.

Zostali sami. Stali objęci, spoglądając sobie w oczy. Mieli sobie tyle do powiedzenia, ale teraz nie było czasu na słowa. Wystarczyły przytulone ciała i bijące jednym rytmem zakochane serca.

Ogarnęło ich poczucie niezwykłego spokoju, radości i przeświadczenie, że postępują właściwie.

Molly oparła głowę na ramieniu Jacksona, a on delikatnie gładził jej plecy.

Tak było dobrze.

I tak powinno zostać na zawsze.

- Gdzie jest Cara? - spytała Molly szeptem, choć teraz i tak nie miało to już znaczenia. Poza ich miłością nic więcej się nie liczyło.

- Zdecydowaliśmy oboje, że wspólne życie na farmie byłoby szaleństwem - powiedział z namysłem.

Oderwała się od niego, chcąc zobaczyć jego twarz.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się do niej w taki sposób, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Byłem głupcem.
- Nie wierzę.

Wziął ją za rękę, szukając w głowie słów, którymi mógłby wytłumaczyć coś, co sam dopiero zaczynał pojmować.

- Molly, miałem koszmarne dzieciństwo. Szukałem ucieczki i oparcia w różnych instytucjach: niańki, szkoły z internatami, uczelnie. Reguły tam obowiązujące byłem w stanie pojąć.

Dzięki temu czułem się bezpieczny. Według tych samych zasad próbowałem ułożyć swoje prywatne życie. Cara to moja przyrodnia siostra. Ona także nie zaznała miłości. Byliśmy dla siebie wszystkim i tylko na siebie mogliśmy liczyć.

- Twoja przyrodnia siostra?

- Tak. Staraliśmy się nawzajem ochraniać. Raz próbowałem coś zmienić, ale skutki były opłakane. - Westchnął ciężko. - Myślałem, że kogoś pokochałem, tymczasem okazało się, że ta kobieta pragnęła jedynie moich pieniędzy. Byłem wtedy młody i niedoświadczony. Zraziłem się na całe życie. A teraz poznałem ciebie.

Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Miała ochotę uszczyptać się, aby upewnić się, że nie śni. Ze to wszystko dzieje się naprawdę.

Tak, Jackson był prawdziwy i należał do niej. Jego następne słowa tylko utwierdziły ją w tym przekonaniu.

- A teraz Cara poznała Raoula. I...

- I...? - Cały świat wstrzymał oddech. No, może nie cały, ale ona na pewno.

- ...i ja poznałem moją Molly. Wspaniałą, dzielną, lojalną, czułą, zachwycającą, ukochaną Molly. Dopiero teraz zacząłem zastanawiać się

nad tym, przed czym tak naprawdę uciekam. Sądziłem, że przed miłością, ale przecież zanim poznałem ciebie, nie wiedziałem, czym jest miłość. Nie widziałem cię trzy tygodnie i nie było minuty, abym o tobie nie myślał. Tęskniłem za tobą. Pragnąłem cię, Molly. Chcę, żebyś została moją żoną. Wyjdiesz za mnie?

Czy za niego wyjdzie? Tak, tak i jeszcze raz tak! Ale jest jeszcze jedna sprawa. Musi mu o niej powiedzieć, nawet jeśli miałyby to zagrozić ich szczęściu.

- Jackson, dokądkolwiek pójde, zabiorę ze sobą Sama. Jest częścią mojego życia. Muszę...

- To oczywiste. Jakże mogłoby być inaczej? To wspaniały chłopak i mam takie plany...

- Plany?

- Zamieszkamy tutaj. - Położył palec na jej ustach, kiedy chciała coś powiedzieć. - Słuchaj teraz. Chciałaś, żeby Samowi było dobrze, więc przeprowadziłaś się do miasta. Ale jemu już jest dobrze. Mam wrażenie, że byłby tu bardzo szczęśliwy. Będzie mógł doglądać swoich żab, będzie miał swoje zwierzęta i będzie mógł zajadać ciasto beżowe pani Gray, aż przestanie być taki chudy jak patyk...

- Och, wystarczy. Mówisz tak przekonująco, że powinnam się zgodzić choćby ze względu na Sama.

- Chcesz powiedzieć, że cię szantażują?

- Ależ nie. - Popatrzyła z miłością w jego oczy i nagle zmieniła zdanie - Tak! Niech, będzie, jak chcesz.

- Pragnę tylko ciebie.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Pochylił się i lekko pocałował jej usta. - Wszystko już ustaliłem.

- Ciekawe, kiedy?
- Miałem na to trzy tygodnie. W ciągu takiego czasu wiele może się wydarzyć.
- Powiesz mi, co takiego ustaliłeś?
- Pomyślałem... Nie muszę tak dużo podróżować. Większość pracy mógłbym wykonywać stąd. Ale jeśli zechcesz, możesz założyć ekskluzywną agencję pośrednictwa handlu nieruchomościami. A w wolnych chwilach uprawialibyśmy razem zawód farmera.
- Doprawdy?
- Tak. - Pieścił ją wzrokiem, nie wypuszczając jej dłoni ze swoich rąk.

Och, kochała go tak mocno, że co chwila zapierało jej dech w piersiach.

Ujęła jego twarz w dłonie i przyciągnęła do siebie. Chciała, żeby całował ją w nieskończoność, aż do utraty tchu. Kiedy na chwilę przzerwali, zdołała wyszeptać:

- Powinniśmy iść pomóc Samowi uwalniać żaby.
- Ty już swoją uwolniłaś - mruknął, obejmując ją mocniej. - Zamieniłaś żabę w księcia, który już na zawsze zostanie twoim kochankiem.